



WIADOMOSCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Nr. 30 (716)

Warszawa, Niedziela 18 lipca 1937 r.

Rok XIV

Wszystkim P. T. Czytelnikom, którzy do dn. 15 b. m. nie odnowią prenumeraty za kwartał III b. r., dalsza wysyłka pisma zostanie bezwzględnie wstrzymana

TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY)

Ładna historia czyli camera obscurissima

Od roku przeszło dochodziły nas wieści, że p. Aurenche, Francuz, pisze historię Marysieńki Sobieskiej. Oczekiwałem tej książki z łatwo zrozumiałą niecierpliwością i zainteresowaniem. Można było przypuścić, że francuski pisarz, znalazłszy dostęp do miejscowych źródeł, spojrzawszy świeżem okiem na ówczesne sprawy polsko-francuskie, da im nowe i zajmujące oświetlenie. Wreszcie ukazała się ta książka, p. t. „La fortune de Marysieńka”).

Poprzedza ją przedmowa autora. Związała, ale zapowiada nam nielada rzeczy. „Zdumiewająca historia Marii de la Grange, — pisze autor, — księżniczki francuskiej (?) i królowej polskiej, znana jest tylko paru erudytom; a jednak... A jednak bez tej, którą Sobieski nazywał swoją Marysieńką, byłibyśmy wszyscy Turkami... półksiężyc blyszczałby zamiast krzyża na wieżach Notre-Dame”.

Historycy jej — pisze dalej — są dwójcy: francuscy lub polscy. Francuscy nie mogą jej darować, że o nią się rozbiła polityka wielkiego Ludwika. Polacy widzą w niej cudzoziemkę, która rzekomo złupiła Polskę. Wszyscy wieszają na niej psy, gromadzą potwarze, wymysły i kłamstwa, aby z niej uczynić złego ducha Sobieskiego. Na szczęście — powiada p. Aurenche — ponad historykami jest Historia. Z pewnym opóźnieniem często przynosi nam prawdę.

Po tem oświadczeniu, autor dodaje, że udało mu się znaleźć dokumenty w archiwach ministerstwa wojny, w dziełach Mortona i hr. du Breuil, oraz „w szacownej Bibliotece Polskiej w Paryżu”. Postara się tedy, przy pomocy nowych faktów, wznowić proces Marysieńki. „Do czytelnika należy odpowiedź, czy wygrał ten proces”.

Trochę jesteśmy zaskoczeni tym surowym wyrokiem wydanym na historyków polskich przez człowieka, który zapewne zna ich tylko ze słyszenia; trochę dziwi nas również ów Morton (autor popularnej angielskiej książki o Sobieskim) i du Breuil zaliczeni do „źródeł”; ale tem bardziej zaciekawieni przystępujemy do lektury. I w miarę jak się posuwamy, ogarnia nas zdumienie, a potem niepohamowana wesołość, która towarzyszy nam już do końca książki.

W piękny zimowy wieczór, dn. 12 lutego roku pańskiego 1646 r., długi orszak jeźdźców i karoc zbliżał się drogą od Prus do Gdańska — tym powieści-

wym stylem rozpoczyna się rzecz od wjazdu Marii Ludwiki, zasłużonej przez prokurację królowi Władysławowi IV, do Gdańska, gdzie jakoby miał wyjechać na jej spotkanie król. W karcie znajduje się obok królowej sześćdziesięcioletnia dziewczynka, której, kiedy się staje zbyt żywa w wylewach czułości, królowa powiada pieśczośliwie: „Siedź spokojnie, albo cię już nigdy nie nazwę Marysieńką”... Koło karocy galopują dwaj młodzi rycerze: to Marek i Jan Sobiescy. Dziewczynka daje rączką znak, jeden z rycerzy zbliża się z radosnym uśmiechem, a z ust dziewczynki świeżym głosem padają słowa: „Dzieńdobry, Celadonie”.

Niemą co, dobry początek. Fety w Gdańsku już się rozpoczęły, gdy naraż jak grom z jasnego nieba pada wiadomość, że król nie przybędzie. Przyczyną — anonim czy list godzący w obronę sławę królowej, właśnie w związku z obecnością małej Marysieńki w jej orszaku. Wracać do Francji? Na co Jan Sobieski oświadcza rycersko, że obaj z bratem Markiem przyrzekli królowej Francji, iż nie opuszczą Marii Ludwiki dopóki nie znajdzie się przed obliczem króla. Jakieś tam otrzymałby inne rozkazy, Jan Sobieski oświadcza, że na czele swoich husarzy odprowadza ją do zamku w Warszawie. A gdyby nie znalazła tam przyjęcia, jakie przysłał królowej, wówczas jego rodzinna Żółkiew, wraz z ojcem, matką i całą służbą, jest na jej usług. Wymawiając te słowa rycerz uczuł, że mu coś pada na piersi: to mała dziewczynka rzuciła mu się na szyję i woła: „Kocham cię, Celadonie, bo bronisz mojej królowej”.

Gdzie my jesteśmy? To już nie jest nawet „vie romancée”, w której obowiązuje prawda faktów przy żywości ich przedstawiania, to jakiś groszowy roman w odcinku brukowego pisemka. Czyżby w „archiwach ministerstwa wojny” odkrył autor, że młodzi Sobiescy eskortowali Marię Ludwikę do Polski, gdy w istocie w tym właśnie czasie opuścili Polskę blisko na trzy lata? Niestety, dalsza lektura upewnia nas ponad wszelką wątpliwość, że „dokumenty” autora są fikcją i że nie tylko nie przynosi nam nowych, ale ma bardzo mgliste pojęcie o dawnych. Czytał zato — dość pobieżnie — „Trylogię” Sienkiewicza; ta dostarczała mu nawet nazwisk, co prawda dość komicznie użytych. Tak, wśród poselstwa polskiego wyprawionego w r. 1645 po Marię Ludwikę do Paryża, idą z młodzieżą francuską o lepsze co do zręczności i elegancji książę Kurcewicz, Skrzetuski (Krétuski) i sam „wspaniały książę Yaréma Wiśniowiecki, już sławny

swemi zwycięstwami nad Tatarami w bagnach Sicz i lasach Machnowki”... Spotkamy później i innych: Podbięta jest burmistrzem Gdańska i wita w tem mieście królowę oracją, a towarzyszy mu pan Wasyl Zagłoba, syndyk ławników gdańskich, długi i chudy starzec z brodą do pasa.

Czytajmy dalej. W kilka miesięcy (!) po ślubie umiera Władysław IV, wskutek puchliny „cierpiącej źródło nie tyle w wodzie wiślanej, ile w złościej wodce gdańskiej”. W samym dniu ślubu (!) Jana Kazimierza z wdową po bracie, Warszawa dowiaduje się o buncie Kozaków. Następuje dziesięć lat krwawych zmagających, do których przylacza się najazd Szwedów. W przerwach między wyprawami wojennymi, Jan Sobieski lubi spędzić czas przy dworze patrząc w oczy pięknej Marysieńce, ale ubogi żołnierz nie śmie walczyć o jej rękę przeciw możnemu Zamoyskiemu. Kiedy królowa oznajmiła publicznie małżeństwo swojej pupilki, twarz młodego kapitana pozostała jak z marmuru. „Niech żyje królowa, niech żyje księżna Zamoyska” — wyrzekł pewnym głosem Sobieski.

Na wiosnę r. 1657 (w rzeczywistości r. 1658, ale w tej osobliwej książce ściśła data należy do rzadkości) odbył się ślub państwa Zamoyskich. „Starosta jaborowski” walczy tymczasem gdzieś daleko „w Karpatach, w bagnach Sicz, o ile nie w olbrzymich równiach poznańskich”. Zamoyski tymczasem przybywa z żoną do Zamościa, dużego i warownego miasta, położonego nad brzegiem rzeki Gah. (Nie wiem, czy ktoś pana Aurenche nie wziął na kawał z ta rzeką...). W czasie uroczystości nad strzałem z pistoletu podpalili stołce. Spłonął cały zamek, mimo że młoda księżna rozwinięła energiczny ratunek, sama wyciągając wiadra wody na łańcuchu. Tymczasem pan Zamoyski popijał krupnik w domu swego dworzanina Podłódowskiego. Na widok osmalonej i zdyszaney Marysieńki, Zamoyski wyrzucił jej wżruszenie, gdy ona jemu jego obojętność. „Głupstwo — powiada Zamoyski. — Trzy miliony straty? To nie warte, aby się odrywać od krupnika. Jutro moi intendenci przyniosą mi pięć milionów florenów. Zbudujemy zamek w taki deseń, w jaki ci się spodoba. Ot, mam dobrą myśl. Zbudujemy go wiernie według planów twojego zamku la Grange we Francji, jeżeli masz rysunek. Za trzy miesiące będzie gotów. Będzie ci miło, zamiast starej rudery, odnaleźć swój dom rodzinny nad rzeką Gah”.

„I co najlepsze, — dodaje p. Aurenche, — tak się też stało”.

Wszystkiego tego mało naszemu rewidzoniście, reprezentującemu, jak sam powiada, „Historję ponad historykami”. Po ślubie Marysieńki (1658) p. Aurenche ściga ponownie Szwedów w głąb Polski; Warszawa wpada znów w ich ręce, Jan Kazimierz szuka tym razem schronienia... „w olbrzymich stepach Ukrainy”. Karol Gustaw ściga go; Zamość leży na drodze pogoń. Musi paść! „Zobaczmy” — odpowiada Marysieńka, gotując się bronić do upadłego i starając się obudzić swoim przykładem energię gnuśnego małżonka. Jakoż foremny oficer, ubrany w szwedzkie buty i gronostajowy kołpak, uwią się wśród żołnierzy wiwatujących na jego widok. To księżna Marysieńka. Nikt nie wątpi (powiada p. Aurenche), że harda odpowiedź, jaką Zamoyski dał Szwedom (w istocie miał ją dać kilka lat wprzód, jako kawaler), podsunął mu lotny duch młodej Francuzki.

Zamość — leżący wedle p. Aurenche u stóp Karpat, na stromej skale — broni się. Niezlomna księżna towarzyszy mężowi jako pazik, gdy ten przyjmuje pozostałych szwedzkich. Król szwedzki ofiaruje, wzamian za Zamość, Zamoyskiemu Lublin. Na to rozlega się drwający głos pazika: „Proszę zamiast Lublina ofiarować królowi szwedzkiemu Niderlandy”. Pan Zagłoba nie przeczuł, komu posłuży jeden z jego najlepszych konceptów. Obalenie trwa. Czarniecki rzucił na pomoc pułk dragonów i chorągiew laudańska... Ale i ktoś inny czuwał nad Zamościem i

nad jego obrończynią. To Jan Sobieski, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, wyprosił u starego Czarnieckiego jego ostatnich rycerzy. Obalenie przeciąga się, armia szwedzka znużona topnieje. Wreszcie, pewnego rana okazuje się, że Szwedzi znikli, zostawiając zagwożdżone kolubryny.

Ledwie Szwedzi odeszli jak niepyszni spod murów Zamościa, zjawia się pod bramą gromada obdartych, ale szaleńczo mężnych rycerzy. To najdzielniejsi z dzielnych, kompania „starosty jaborowskiego”, Jana Sobieskiego. Pewno chcą wjechać w mury: most zwodzony podnosi się. Ale oto przed tych ludzi wysuwa się muskularny olbrzym, osmalony prochem, umazany krwią; mimo listopadowego chłodu wydaje się, że zbroja jest jedynym okryciem jego ciała. To on, to Sobieski. Kolanami wydatnymi jak kule ścisła olbrzymiego litewskiego ogiera i woła silnym głosem, podczas gdy jego rapier wlecze się po kamienistej drodze: „Jan Sobieski pozdrawia księcia Zamoyskiego i wzniesie mu zwycięstwa”. I cały odzutu, parszając niaściwym śmiechem, puścił się jak stado wilków za Szwedami, podczas gdy z okien zamku mały dragonik w pięknym czerwonym mundurze długo patrzy za gromadką jeźdźców niknącą na skraju lasu...

Łatwo poznać, że całe to obalenie Zamościa jest to kłitka bajdus skłębione z obalenia Częstochowy i innych epizodów a la Sienkiewicz (którego zresztą p. Aurenche nigdzie nie wspomina); przyczem Marysieńka jednoczy animusz Basi Wołodyjowskiej i wiarę księdza Kordeckiego z fortelami i swadą Zagłoby. Bo trzeba widzieć dopiero, jakimi fortelami Marysieńka ratuje później oblężony Lwów! Tak p. Aurenche rozumie „rewizję jej procesu”, nawspak „klamliwym i oszczerczym” historykom polskim, przed forum francuskiej publiczności. I, nie poprzestając na tych czynach wojennych Marysieńki, oznajmia nam zwięźle, że w czasie pokoju w Oliwie pani Zamoyska była najlepszym i najzręczniejszym dyplomata w sprawie polskiej; że jeżeli Polska wyszła z okropnego potopu, jeżeli się miała nadal rozciągać od Dniestru, po Bałtyk, jeżeli Szwecję szpetano na zawsze, „nie najmniejszą część w tych nieoczekiwanych sukcesach trzeba przypisać księżce Zamoyskiej”. Niestety, mówiąc stylem urzędowych sprostowań, nieprawdą jest jakoby... natomiast prawdą jest, że pani Zamoyska wówczas była młodą matką, siedziała kamieniem w Zamościu, gdzie się bardzo nudziła (patrz własne jej listy) i w wielkiej polityce żadnego w tym momencie udziału nie miała.

Mija kilka lat. Znow jesteśmy u stóp Karpatów w Zamościu, ale w dniu Zagłoby, Zamoyski wyzionął ducha, Marysieńka jest wdową, domniama panią olbrzymich włości. Ale ma przeciw sobie wrogą rodzinę zmarłego, zwłaszcza jego siostrę, „Grizelidis Wiśniowiecką, dużą kobietę jasnowłosą o twardych rysach, umalowaną jak bóstwo azjatyckie pod żałobną krepą”. Grizelidis rzuciła zniewagę w twarz młodej wdowie, która bezwiednie myśli o swoim dalekim przyjacielu, zwanym niegdyś przez nią Celadonem. Gdzie on jest?... Zostaje sama, smutna, zadumana. Naraz, ciężka portjera uchyla się, hrabia Sobieski jest u jej kolan. „Wiem, ukochana, jak z tobą postępują. Zostaw tych ludzi; moje życie należy do ciebie, utaj mi. Uczynię cię więcej niż królową. Pójdź ze mną”. Sadza ją na swe go konia, i gdy ciało zmarłego przed kilku godzinami męża leży jeszcze na kaptalku, Jan Sobieski unosi ukochaną do swojej posiadłości Zwierzyniec w Karpatach opodal Zamościa. (Zwierzyniec, „le Parc”, istniał naprawdę, ale była to posiadłość Zamoyskiego, z której często Marysieńka datuje swoje listy).

Niestety, trzeba nam przerwać te cytaty; na pełny ich inwentarz nie wystarczyłby cały numer. Książka p. Aurenche, mimo wesołych chwil jakich dostarcza, jest tem przykra dla szczerzych przyjaciół Francji, że może niejako potwierdzić w pojęciu polskiej publiczności wyższość

nieślusznego i krzywdzącego zdawkowe legendy o „francuskiej bladej i arogancji”. A także wszystkie komunały o francuskiej geografii. Oto parę próbek. Jerzy Lubomirski, „opuszczony przez ostatnich przyjaciół, samotny, oddał wyniosłego ducha w stepach Pomorza, w klasztorze w pobliżu Wrocławia”. „Wielki hetman, książę Czarniecki” umiera w chatce na Wołoszy (Walachie) koło Dubna. (Zabawne jest, że autor dołączył do swojej książki mapę Polski, ale nie przyszło mu na myśl na nią spojrzeć!). Próbką orientacji historycznej; w dwa dni po bitwie pod Podhajcami, sułtan Gałgan prosi swego zwycięzcę o pokój i ofiarowuje mu przymierze. „Odtąd — pisze p. Aurenche — Kozacy będą się liczyli do najlepszych obrońców Polski”. Matka Sobieskiego jest z domu Żółkiewska; sam Żółkiewski jest zwycięzcą spod „Cékora”, bohaterem od wrotu spod „Kobilita” (?). Pac nienawidzi Sobieskiego, bo ten skarcił go dzieckiem „en plein cercle de Kolo”, dokąd ich zaprowadzili rodzice (!) i gdzie mały Pac nazwał ojca małego Sobieskiego parwenjuszem... Dowiadujemy się, że Sobieski jest w późniejszych latach tak otyły, że go podnoszą na konia zapomocą sznura przywiązanego do bloku albo przerzuczonego przez gałąź Niema drobiazgu, gdzieby nie było głupstwa albo błędu. Śmierć Wiśniowieckiego przesunięta o osiem lat; ślub daje Sobieskiemu przyszły papież Innocenty XI; Morstin żonaty jest z „panną de Besse”; Marja Kazimiera, wnuczka Sobieskiego, jest córką Maksymiljana Bawarskiego. Każde nazwisko zniekształcone: Lubormiski, Mortzyn, Razyuski (Raczyski), Fedro i t. d. i t. d.

Jako tło, jako koloryt, trudno o ordynarniejszy kicz. To co mogłoby w istocie zainteresować poważniejszego francuskiego czytelnika, zmienne koleje kilkudziesięcioletniej aktywnej polityki francuskiej w Polsce, podszewka gry politycznej, nawet nie jest dotknięte; wciąż tylko grubo sfingowane epizody powieściowe, obrazy wschodniej dzicz i wschodniego zbytku, wciąż tryskają fontanny wina i miodu... Pozbierane zewsząd bajeczki porożdzielane są zupełnie dowolnie: tak Janowi Kazimierzowi daje p. Aurenche wydrę króla Jana a pijanstwo Augusta Sasala a resztę załatwia jakimś gołosłownym zdankiem, wraconem od czasu do czasu, gdy np. o królowej Marii Kazimierze powiada, iż „pod jej lubym wpływem nauki i sztuki zakwitły”.

Wszystko to byłoby jedynie niewinnym materiałem do „camera obscura”, dla nas, a może przyjemną lekturą dla francuskich kucharek, gdyby nie „naukowe” pretensje wydawnictwa (dość zało-

śna bibliografja na końcu książki) gdyby nie agresywność i mistyfikacja przedmowy, gdyby nie powołanie się na Bibliotekę Polską w Paryżu, gdzie siedzi przecie jeden z najlepszych znawców epoki Sobieskiego, gdyby wreszcie nie dedykacja książki znanemu działaczowi na terenie zbliżenia polsko-francuskiego: „A Henri de Montfort, qui m'a fait connaître Marysieńka”... Nie wiem, czy p. de Montfort będzie z tej dedykacji dumny, skoro się zapozna z treścią książki.

Ale gorszyć się, to nie mój fach. Od tego są inni. Zdawałoby się, że książka tak lekkomyślna, tak impertynencka wobec polskiej nauki, malująca w dość szpetnych barwach naszą historję, poto aby wywyżżyć bohatera, ustrojona we wszystkie cudze piórka... uszczknęte z fantazji z Sienkiewicza, że taka książka spotka się z zasłużoną oceną. Zwłaszcza nasi zawodowi rozzieracze szat mieli świetną okazję potemu. Tymczasem, le dwie nadeszły pierwsze egzemplarze „Marysieńki” p. Aurenche do Warszawy, już powitał ją ciepły i poważny feljeton p. J. Jemioły w „Kurjerze Warszawskim”.

Wedle p. Jemioły, cel tej książki, mimo że jest „tylko biografią powieściową”, niemniej jest „naukowy”: chodzi bowiem p. Aurenche o „obalenie dotychczasowych sądów o Marysieńce i odtworzenie jej roli politycznej”!! Pan Jemioła wziął widocznie serio wszystkie spiętrzone tam banjaluki z obroną Zamościa łącznie; z uznaniem cytuje opinie autora o pani Zamoyskiej jako o opatrności Polki w... pokoju oliwskim; wogóle w całej książce razi go jedynie tytułatura: „książę Czarniecki” i „księżna Zamoyska”; zresztą wszystko mu jest w porządku. Autor — wedle p. Jemioły — daje „portrety wyraziste, mimo iż znać po nich że malowane piórem cudzoziemca”. Ale najlepsze jest zakończenie, gdzie roztropny recenzent pisze: „Trzeba by przeczytać wszystko co napisane zostało o Marysieńce, ażeby odkryć, jakie fakty opowiedziane w książce Aurenche’a są prawdziwe a jakie powieściowe”.

Istnieje poemat, zaczynający się od słów: „Kiedy Kara Mustafa, wielki mistrz krzyżaków...”. Gdyby p. Jemioła pisał recenzję z tego poematu, napisałby zapewne tak: „Trzeba by przeczytać wszystko co napisano o Mustafie i o krzyżakach, aby ocenić ile tu jest ściślej prawdy”.

Dokąd my idziemy, a raczej gdzie się staccamy?! Toż, o ile książka p. Aurenche rozweseliła mnie, o tyle feljeton p. Jemioły przejął mnie smutkiem i zgrozą.

Tadeusz Żeleński (Boy).

LEOPOLD STAFF

POWOŁANIE

W godzinę przedwieczorną, gdy obłoki śniade
Płoną światłem widmowym jak w dawności świecie,
Otwieram pamięć moją jak starą szufladę,
W której kryją się spełzłe mych wspomnień rupiecie.

Pomimo lat dojrzałych, nie wstyd mi dziś, kiedy
Sny dzieci już się rodzą z długą siwą brodą,
Wzruszać się suchym kwiatem mięty lub rzedzy,
Które dotąd w mem sercu pachną wiosną młodą.

I choć zgorzsy się trzeźwy, poważny bakalarz,
Szukam mych najdawniejszych przeznaczeń godziny.
Nie jest nią ani skryty rdza, blaszany pałasz,
Ani pajac z którego sypią się trociny.

Myśl moja się wysila jak świecy ogarek,
Co tańczących błyskawic rude rzucił łuny
I ośniony, jak nagłym cudem niedowiarek,
Znajduję wróżbę losu: bieguny! bieguny!

Stare, puste bieguny po koniu drewnianym,
Który jest w mej młodości przemienil w Pegazą,
Pierzchl i znikł za wieczornym obłokiem miedzianym,
Gdzie dotąd go daremnie ściga ma ekstaza.

Leopold Staff.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

OBŁOKI

Od Rozwadowa, Łańcuta, Leżajska
Lecą obłoki jak światła łabędzie.
Na sinem niebie ta flotylla rajska
Jak szczęście którego nie będzie.
Niedogonione i nieodgadnione,
Splywają śladem znad Sanu,
Cienie przelotne, ptaki zielone
Nad miastem zapomnianem.
Na starym murze wsparty niechętnie,
Jakże samotny i jakże wzgardzony,
Patrzę na rzekę, gdzie woda tętni,
Krwi a nie wody spragniony.
Odnowy jakiejś próżno łaknący,
Stoję, umieram i patrzę:
Chmury spływają na dzień gorący
Ciemniejsze i coraz rzadsze,
Wiem, że oddawna wszystko skończone,
Granica przeżyta cienia,
Chmury zostały tylko zielone
I wielkość poniżenia.
Czemuż tak smutno? Kiedy jest jasno,
Czemu w mrok głowę kłonisz?
Zapomną ciebie, jak to miasto
Zapomniane: Sandomierz.

Jarosław Iwaszkiewicz.

WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI

MOJE PAMIĘTNIKI¹⁾

Miejsce mego urodzenia zasługuje na obszerniejszą cokolwiek wzmiankę, iż od blisko czterystu lat pozostaje w ręku starszej linii Żeleńskich. Według aktu pożądanego w rodzinie, kupione zostały Grodkowice jeszcze za panowania Zygmunta I (Starego). Do Grodkowic przylączyła się majątność granicząca Brzeziny. Przyczyną to muszę jeszcze fakt przyłączenia części lasu z puszczy niepołomickiej do naszego rodzinnego majątku.

Puszcza niepołomicka graniczy z majątkiem Brzeziny, a samo miasteczko Niepołomice, nie więcej niż o milę odległe, z zamkiem królewskim Kazimierza Wielkiego. Zamek niepołomicki ma ciekawą stronę dla zwiedzających pod względem akustycznym. Podwórzec środkowy otoczony jest galerią na pierwszym piętrze. W jednym kącie galerii można szeptać, a z przeciwnej strony wszystko najdokładniej się słyszy.

Właśnie w owej puszczy niepołomickiej odbywał król Jan Kazimierz łowy a w gościnie zajeżdżał do naszego protoplasty. Podejmowany był bardzo suto, serdecznie. Wielec zadowolony czuł się nasz monarcha z przyjęcia, ale jakoś chuchał w palce, skarżąc się na zimno w pokojach.

— Co to u ciebie, mój Żeleński, tak zimno, czemu nie dasz pałic? —

— Skąd wziąć drzewa, Najjaśniejszy Panie, kiedy niema lasu — była odpowiedź gospodarza.

— Czem się pieczętujesz? — zapytał król.

— Herb mój jest Ciołek — odpowiedział Żeleński.

— Dobrze — odpowiedział król. — Jutro, gdy zacznie polować, ty wsiadziesz na ciotkę, gdyż ten gołdem się pieczętujesz, a ile przez czas łowów objedziesz, tyle z lasu mego przydzielone zostanie do twojego majątku.

Jakoż rzeczywiście Żeleński w asyście dwóch dworzan objechał około siedmiuset morgów i miał już czem ogrzać swój dworek.

Starsza linia Żeleńskich stale trzymała się Grodkowic, młodsza linia — Brzeziny, graniczącego z Grodkowicami. W w. XVII rozdzielili się, młodsza linia przeszła na katolicyzm, starsza zaś linia pozostała przy kalwińskim wyznaniu. Młodsza linia ma w swoim rodzie kasztelana Franciszka Żeleńskiego, znanego z sejmów czteroletniego. Za rządów austriackich otrzymała tytuł hrabiowski i słynęła z wielkiej zamożności. Dziś już linia młodsza w Galicji wygasta, ostatni jej potomek Robert Żeleński osiedlony jest w Węgrzech i ma w swoich rękach duży majątek. Tymczasem starsza linia, mniej zamożna, zamieszkuje stale w Grodkowicach, do których przylączyła została Brzeziny, kupione przez mego ojca w r. 1835.

Ojciec mój Marcejan, urodzony w r. 1804 z ojca Andrzeja i Józefy z Dahlków, katolickiej, w r. 1828 za wpływem dwóch siostr przeszedł na wyznanie katolickie a w r. 1834 poślubił Kamilę Russocką.

*

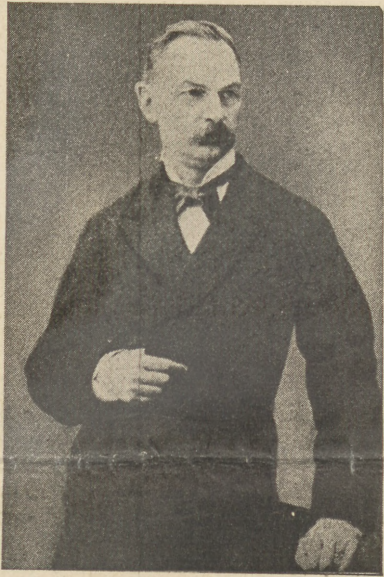
Urodziłem się dn. 6 lipca 1837 r. Wskutek ciężkiej choroby, którą przebyłem mając zaledwie półtora roku, władze moje umysłowe były zrazu przytępione; aż do czwartego roku nie nie mówiłem i napozór nie objawiałem żadnej inteligencji właściwej dzieciom rozwijającym się normalnie. Muzyka jedynie działała na mnie dodatnio. Słuchając gry ojca mego, który, chociaż amator, uchodził na owe czasy jako najlepszy pianista w Galicji, ożywiałem się stojąc jak wrzuty przy fortepianie, oczy moje nabierały blasku. Najwięcej wsłuchiwałem się w melodie „Wolnego strzelca” Webera, uwerturę z „Córki pułku” Donizettiego (utwory te cieszyły się ogromną popularnością). Największe wrażenie na mnie wywierała ballada „Król olch” („Erlkönig”) w układzie Liszta, którą — pamiętam — ojciec mój wykonywał wspaniale.

W początkach piętego roku życia zacząłem mówić, a ponieważ miałem pamięć doskonałą mimo pozornej nieinteligencji, przyswoilem sobie wszystkie trzy języki, które w domu były w użyciu. Najbieglej mówiłem po francusku, gorzej po niemiecku, a najgorzej po polsku dla ciężkiej wymowy, jaką miałem z początku. Matkę moją drażniło, że moim ojczystym językiem nie mogłem się należycie wyśławiać, i tyle zaczęła nade mną pracować nad polszczyzną, że przyswoilem ją sobie należycie, naturalnie ze szkoda francuskiego języka, którym władałem jak Francuz rodowity. Chociaż później uczyłem się systematycznie, nigdy już nie byłem tak biegły we francuszczyźnie jak za dzieciństwa.

Talent mój muzyczny objawił się odrazu, nie tyle przez wygrzywanie na fortepianie słyszanych rzeczy, ile raczej wokalnie. Odbarzony słuchem wybornym i głosem bardzo czystym, wyspiewywałem wszystko co mój ojciec grał, ale to jeszcze nie wystarczało. Musiałem siedzieć przy tam mając stół przed sobą; na tym stole przebieierałem palcami sposobnie do utworu słyszanego na fortepianie, melodia sama nie wystarczała, inni jeszcze dodatkami wypełniałem rytmikę. Ojca mego to nadzwyczaj cieszyło, nieraz przy liczniejszych zebraniach to-

warzyskich musiałem się produkować przed gośćmi. Ojciec mój jednak wcale o karierze artystycznej dla mnie nie myślał, chociaż sam nieraz wdychał i mówił: „czemu ja nie zostałem muzykiem”, jednakże przekonania jego szlacheckie nie pozwalały na to żeby synowi przeznaczyć taką karierę. Jako wysłużony wojskowy w armii austriackiej a później w wojsku polskim w r. 1831 pod jenerałem Skrzyneckim, projektował dla mnie również karierę wojskową w zakładzie inżynierji w Wiedniu. W domu za życia ojca nie pobierałem żadnej nauki w muzyce, zapewne dla zbyt wczesnego wieku, przeto na nauczyciela zdolnego trudno było na wsi, a ojciec zajęty gospodarstwem i innymi sprawami społecznymi, nie miał czasu zajmować się mną, a przeto nadto żywy charakter odmówił mu cierpliwości w kierunku pedagogicznym. W końcu r. 1844 pierwszy raz byłem w Krakowie, gdzie matka moja bawiła aż do końca kwietnia 1845 r. Nauki moje szkolne (wydziałowe niższe), prowadzone w języku niemieckim według ówczesnych przepisów w Galicji, do której Kraków nie należał jako wolne miasto, zostały zastąpione gruntowną nauką języka polskiego z historią kraju rodzinnego. Prócz tego brałem lekcje francuskiego języka, tańca, ale o muzyce nie było wcale mowy.

Spokój życia naszego domowego zmany został straszną katastrofą r. 1846. Banda chłopska z nakazu wyższych władz napadła nasz dom dn. 23 lutego o godz. 7½ wieczorem. Ojciec był z naszym krewnym, bawiącym chwilowo u nas, zginęli mezczańską śmiercią, a matka i nauczyciel nasz domowy ciężko zostali ranni. Straszna ta chwila do dziś dnia tkwi w mej pamięci, ponure postaci przesuwają się przed oczyma.



WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI
w okresie powstania „Wallenroda”

jące się po pokojach, spustoszonych rabunkiem i rozbijaniem sprzętów, przerażały mnie, ale i nie odjęły odwagi do odezwania się do jednego z hersztów bandy: przypomniałem mu przykazania boskie. Wiem że to źle skończyło się dla mnie; gdy oberwałem bowiem kijem w głowę, skończył się mój karnościński zapal, z płaczem poleciałem w ogród (było to już nad ranem około godz. 7). Błąkałem się długo, aż mnie kobieta jedna spotkała przerażona, myśląc że mnie już zabili, i zaprowadziła na wieś do chaty naszego kucharza, gdzie znalazłem tam moich braci, siostrę i naszą bonę Francuzkę. Po dwudniowym pobycie przysłała po nas matka pówóz z Bochni, gdzie z ofiarami rzezi odwieziona została. Nie umiem opisać wrażenia jakiego doznałem widząc matkę leżącą na barłogu słomy i słysząc jej wykrzki: „Dzieci-sieroty!”

W trzy lata po tych okropnych wypadkach matka moja w tym samym miejscu, gdzie zabijano mego ojca, postawiła krzyż z napisem: „Ojciec, przebac mi, bo nie wiedzą co czynią”. Naokoło krzyża zasadzono cztery świerki, przy każdym staliśmy trzej bracia i siostrzyczka podczas poświęcenia krzyża, przemowy proboszcza i mojej do zgromadzonego ludu. Był to akt pojednawczy jaki matka uczyniła przebacając mordstwo, do którego lud był pobudzony przez wyższe władze. Ceremonia zakończyła się stypą wdaną dla ludu i przyjęciem gości zaproszonych na ten obchód.

Pobyt nasz w Bochni trwał przeszło sześć tygodni, gdyż matka, ciężko ranna w głowę, z potłuczonymi plecami, musiała się leczyć. Pomoc wielką w ratowaniu majątku znaleźliśmy w naszych krewnych Jędrzejowiczach (matka moja miała dwie siostry: najstarszą zrzędu Zofię poślubioną była Grzegorzowi Jędrzejowiczowi, drugą zrzędu Leokadię — Mikołajowi Dąbskiemu, matka moja była najmłodszą), którzy nam ofiarowali gościnność w domu swoim w Dylagówce w powiecie rzeszowskim, gdzie reżę nie dosięgnęła okazyteli. Chłopi zanni nie dopuścili do katastrofy. Wuj nasz Grzegorz przyjął opiekę, a syn jego Ludwik niezmiernie życzliwie pomagał matce w uregulowaniu zawitych interesów majątkowych.

Po kilkomiesięcznym wypoczynku w Dylagówce powróciłem do Grodkowic, a w jesieni zamieszkaliśmy stale w Krakowie. Dopiero w końcu 1846 r. rozpoczęła się moja edukacja muzyczna.

Po ukończonym jedenastym roku życia zacząłem już tworzyć tańce, jak polonezy, mazurki, polki, a przeto improwizowałem w poważniejszym nastroju, czego jednak w pamięci nie mogłem za-

chować, brak mi było do tego wszelkich podstaw harmonji. Rewolucja 1848 r.) wpłynęła korzystnie na moją karierę muzyczną. Brat mój starszy Stanisław, oddany do zakładu Theresianum w Wiedniu 1847 r.), powrócił wcześniej przed ukończonym rokiem szkolnym, a wbrew woli s. p. ojca mego, matka wołała dalszą naszą edukację poprowadzić w szkołach krajowych, zatem i karjera moja woj-



WŁADYSŁAW i WANDA ŻELEŃSCY.

skowa dzięki Bogu rozwiała się. Wtedy już w pewnej chwili uniesienia stanowczo oświadczyłem matce iż chcę zostać artystą-muzykiem, kompozytorem. Matka moja odpowiedziała mi przychylnie, za warunek jednak położyła ukończenie gimnazjum, abym w razie rozmyśłu nie miał zamkniętej drogi do innego zawodu. Gdybym się nie był urodził szlachcicem, z pewnością byłbym specjalnie zaczął się kształcić w moim fachu, a tak musiałem poprzestać na studiach z początku bardzo dyletanckich. Matka moja nie mogła walczyć z naówczasniejszymi pojęciami swego otoczenia, które dla szlacheckiego dziecka nie widziało innej drogi jak tylko ku urzęd, wojsko albo gospodarstwo na wsi. Muzykalskości nauczyciela naszego zawdzięczałem zapoznaniu mnie z muzyką lepszą, pamiętam jeszcze chwilę w której grając sonatę Beethovena op. 49, płałem z rozrzedzenia nad melodiami płynącymi z serca. A co dopiero jak się dowiedziałem Mozarta sonaty ze skrzypcami esdur. Trudna była dla mnie ze względów techniki, która była całkiem u mnie niezadbaną, ale zmysł mój muzyczny objął całość, i wykonanie mimo wielu braków miało werwę i należyty temperament (Beethoven i Mozart, to były moje ideały, poza którymi nie widziałem doskonałego).

Tak trwał to r. 1850. Dzień 19 lipca straszny dla Krakowa: połowa prawie środkowej dzielnicy spłonęła ogniem, który miał swój początek z ulicy Dolnych Młynów, gdzie zajęły się na strych zboża z wiorami. Dzień był strasznie upalny, z silnym wiatrem który przeniósł pożar na ulicę Wiślną i Golebią, gdzie matka moja przeniosła się z ulicy Szewskiej, zamieszkała od dn. 1 lipca. Było to o godz. 1½ w południe, właśnie miałem się wybierać na egzamin piśmienny do liceum św. Anny z klasy II

“) Pamiętny jest dla mnie ten rok ciągłem przejeżdżam emisariuszy z różnych stron, mianowicie z Węgier. Kraków ciągle odprowadzał z kolei przybyłych gości przy odgłosach muzyki i śpiewów patriotycznych. Aż nareszcie dn. 26 kwietnia wybuchła rewolucja. Od rana na ulicy Mikołajskiej budowano barykady tam gdzie mieszkaliśmy. W domu t. zw. „Pod Zegarem” obok nas mieszkali jenerał Prądyński z rodziną. Chociaż sparaliżowany na nogi, z okna przypatrywał się stawianiu barykad i komenderował robotą. Zato też, gdy się rozpoczęła strzelanina z dział i karabinów ze strony austriackiej o godz. 3 popołudniu, do naszych okien strzelano przez zemstę za komendę jenerała. Matka moja przez ten czas przeniosła się z nami dziećmi do mieszkanka jenerała, jakoś nam rażniej było razem. Panie, przerażone hukami dział z zamku wawelskiego i karabinowym na naszej ulicy, straciły zupełnie głowę. Mnie wtedy porwał karnościński zapal, powstałem zżwo i zawołałem: „Na kolana”. Zacząłem od „Ojciec Nasz”, „Zdrowaś”, „Wierze”, potem improwizowałem różne modlitwy patriotyczne. Wierzę, że tym moim zapalem dodałem wszystkim ducha i zyskałem uścisłoci od mojej matki i pani jenerałowej.

dzisiejszej gimnazjalnej, gdy wpadła służba z okropnym krzykiem żeby się wynosić, bo nad naszymi głowami pożar. Matka moja nie była przypadkiem w Krakowie, wyjechałszy na parę dni do Grodkowic z naszą siostrzyczką. Ja ledwie miałem czas porwać to co miałem najdroższego, skrzypce, na których zacząłem się uczyć od półtora miesiąca, przeleciałem z nimi przez Rynek na ulicę

maici co do wieku od 13 do 30 lat. Wszystko to rozpuszczone, hałasowało i biło się między sobą nawet na wykładach, tak że w bardzo obszernej klasie bardzo mało można było uchwycić z tego co profesor mówił, zwłaszcza jeżeli głosu nie miał donośnego. Ja szczególnie byłem ofiarą nieszczęśliwą, nad którą się znęcano. Przyczyniły się do tego bardzo niefortunne zwierzchnie ubrania z tak zwanego bajowego sukna popielatego. Ledwie się ukazałem w szkole wszyscy mnie obstąpili, wykrzykując: „Baja, baja”... Młodzi mnie szturchali, ale starsi jeszcze gorsi byli, bo przystępując do mnie z wykrzyknikiem: „Nie bój się baja, ja cię będę bronił”, okropnie mi częstowali moją głowę i plecy. Zrozpaczony, chciałem uciec ze szkoły, ale mi się to nie udało. Przytrzymał mnie u wejścia zany profesor Adolf Mulkowski, widząc mnie zapłakanego, spytał się co mi jest. Zrazu nie chciałem nic powiedzieć, ale on na to nie przystał, zaprowadził do kancelarii i tam musiałem opowiedzieć moją przygodę i zdać nazwiska głównych sprawców. Naturalnie skończyło się na surowej karze winnych, chociaż to niewiele pomogło, gdyż przez cały rok byłem celem przesładowania moich kolegów. Z wykładów także niewiele korzystałem, hałas nieustający nie pozwalał mi nieraz dosłyszć słów profesora, często nawet nie spostrzegłem się że mnie wywoływano, dostawałem mimowoli złą notę. Cały rok ten był dla mnie męczarnia, szczególnie pierwsze półroczie. W drugim już półroczu trochę się pogodziłem z moim losem, śmiejąc odpowiadałem na zapytania nauczycieli; ale mimo tego świadectwo otrzymane przy końcu roku było najgorsze: „trzecia bez promocji”. Bardzo byłem zgnębiony tą klęską, ale zarazem nie za-



WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI
w okresie powstania „Goplany”

łowałem wcale moich kolegów zepsutych zupełnie, z których aż siedmiu musiano wypędzić z zakładu dla rozpusty i uszkodzenia razami kolegę, który wkrótce po pobiciu życie zakończył.

Jeszcze jeden fakt przytaczam, jak dalece koleży byli mi nieżyczliwi. Na Zielone Świątki mieliśmy kilka dni wolne. W ostatniej lekcji języka niemieckiego, którego udzielał bardzo zdolny, ale trochę nerwowy profesor Zenon Heller, jednemu z kolegów przyszedł koncept podłożenia petardy w pobliżu katedry, która to petarda podczas lekcji z wielkim hukiem wybuchła. Zmieszany profesor wybiegł z klasy i w kancelarii oznajmił dyrektorowi i zebrany profesorom, że uczyniono zamach na jego życie. Wkrótce potem wszedł do nas dyrektor (Antoni Małeck) i rozpoczął śledztwo między nami, żądając wydania przestępcy. Groził wydaleniem uczniów znanych z rozpusty, a nareszcie zagroził aresztowaniem sześciogodzinnym nawet najlepszym uczniom, którzy jednak mimo tego milczeli. Wtedy uniesiony jakimś szlachetnym popędem, pomyślałem: „mnie już nic nie zaszkodzi i tak rok dla mnie stracony”. Wystąpiłem z ławki, idąc wprost do dyrektora, oznajmiając: „Ja to zrobiłem”. Nie chciał uwierzyć temu zacy kierownik, pocichu do mnie powiedział: „Szlachetny jesteś, bo tego nie mogłeś zrobić, za dużo dobrze jesteś wychowany”. Uwolnił mnie z temi słowy od wszelkiej kary. Ledwie wyszedł z klasy, obstąpili mnie koleży, zamiast podziękować, wyszturchali mnie, na głos krzyjąc: „Jaki on głupi, nie zrobił a przyznał się, to warjat”. Naturalnie profesor Heller nie uwierzył temu co dyrektor Małeck przytaczał na usprawiedliwienie mnie, inni profesorowie nieżyczliwi byli za wypędzeniem z zakładu, ale jakoś dyrektor i gospodarz klasy pastor Otremba obronili mnie, reżąc że jeżeli mnie zatrzymają w klasie i przez to usuną mnie od kolegów źle działających na moje usposobienie, całkiem inny będę i pod względem nauki jak i sprawowania się.

Rzeczywiście sprawdziło się to co szanowny pastor orzekł, dostałem się między lepszych kolegów, z którymi nawet zawarłem przyjaźń, zresztą i ja oswoiwszy się z trybem szkolnym, znosiłem żarty, sam się odcinałem i jakoś szczęśliwie przebyłem całe gimnazjum, zdawszy wielce pomyślnie egzamin dojrzałości w r. 1857.

W muzyce robiłem postępy, ale nie takie jakie według zdolności moich moznaby przypuścić. Do r. 1854 byłem umieszczony w pensjonatach; jeden rok mieszkalem u pastora Otremby, a dwa lata u Bętkowskiego, gdzie rygor był ściśły,

na muzykę miałem zaledwie godzinę czasu dziennie. Przeto nauczyciele nie odpowiadali zupełnie wymaganiom pedagogicznym. Dopiero w końcu r. 1854 matka moja sprowadziła się napowrót do Krakowa, głównie dla edukacji siostry mojej Eugenji. Dostałem się odtąd w daleko lepsze ręce.

Po zdany egzaminie dojrzałości zapisałem się na wydział filozoficzny, wbrew przepisany formom dla synów obywatelskich (szlacheckich), według których to form wolno było uczęszczać na prawo, po którego ukończeniu wstępowało się do urzędu, albo obejmowało się gospodarstwo rolnicze. Inne zawody, jak np. medycyna, nie były uprawiane w sferze arystokratycznej. Moje zatem wstąpienie na wydział filozoficzny i gorliwe zajmowanie się muzyką wywołało protest ze strony poważnych obywateli, którzy zgłaszali się przez mego opiekuna do mojej matki, jak może pozwolić synowi oddawać się muzyce i uczyć się filozofii zamiast prawa. Na to moja matka spokojnie i stanowczo odpowiadała: „Bez ukończenia gimnazjum nie pozwoliłabym na wyłączne poświęcenie się muzyce, ale teraz nie mogę mu tego zabronić do czego ma widocznie powołanie, a przeto filozoficzny wydział najlepiej mu odpowiada do ogólnego wykształcenia”. To mnie tak wzruszyło, iż matce oświadczyłem, że postanowiłem zdać potrzebne egzamina, aby otrzymał doktorat z filozofii, co może zamknie usta wszystkim, którzy są przeciwni mojej karierze muzycznej.

Rozpoczęte moje studia filozoficzne na wszechnicy krakowskiej zapowiadały się szczęśliwie. Dzięki swobodzie jako akademik zacząłem bywać w niektórych domach, mianowicie u pp. Zakaszkowskich. Oboje państwo bardzo zanni i lubujący się w muzyce, bardzo radzi słuchali mego grania. Sama pani Zakaszkowska, nie zmiennie uznawając mój talent, popierała gorąco myśl moją poświęcenia się muzyce. Jako znawczyni dużo wpływała na mój gust w wykonaniu; słowem, życzliwość szczerą mnie zaszczęcała. Obojga pp. Zakaszkowskich pokochałem serdecznie, tak prawie jak najbliższych krewnych uważając.

Drugą osobą, wpływającą nader korzystnie na rozwój mego talentu, była księżna Marcelina Czartoryska, jedna z najlepszych uczen Cholina. Wprowadzony zostałem w jej salony przez mego przyjaciela i kolegę z ław szkolnych Władysława Jabłonowskiego (miestety, zginął w powstaniu pod Komorowem w r. 1863). Przybyła do Krakowa w jesieni 1858 r. Bardzo serdecznie byłem przyjęty przez księżnę, która usiadła do fortepianu. Zaczęła od fantazji chromatycznej Bacha, którą wykonała tak po mistrzowskiu że o mało się nie rozpląkała ze wzruszenia. Potem przeszła do Chopina, szczególnie mazurki zachwyciły mnie, i przynajmniej, że nikogo nie słyszałem, nawet z najslawniejszych wirtuozów, którychbym mógł porównać z odczuciem tych przepięknych utworów. Od tej wizyty bardzo mnie zaszczęcała swoją przyjaźnią, a nawet zaprosiła mnie do wzięcia udziału w koncercie bym przyjął partię drugiego fortepianu w utworach Chopina. Odegrałmy fantazję na tematy polskie i z każdego koncertu andante i finale. Wywiązałem się z zadania akompanjatora nieźle, zwłaszcza w pewnej chwili kiedy przewracający kartki Nikodem Biernacki zamiast jednej odwinał dwie. Księżna stanęła nagle, ja jednak nie tracąc przytomności, zacząłem coś improwizować w duchu utworu i wprowadziłem nieznacznie na dalszy ciąg, że nawet słuchacze nie spostrzegli się na omyłce koncertantki.

Trzecia osoba, obdarzająca mnie serdeczną przyjaźnią, była p. Januszkiewiczowa, urodzona baronówna Larisch w Osięku, równieńczyką wiekiem i przyjaciółką mojej matki. Oświeć i Osięk graniczyły prawie ze sobą. Była również chrześcijanką matką siostry mojej Eugenji. W r. 1854 miałem szczęście poznać zaną tę osobę w Osięku, gdzie mnie przywiozła moja matka. Zastaliśmy ją w wielkim smutku z powodu aresztowania jej męża w Krakowie. S. p. Eustachy Januszkiewicz był emigrantem, mieszkając z żoną w Paryżu, oboje zjeżdżali do Osięka co roku na dłuższy czas, ona zwłaszcza dla zaopiekowania się ojcem w podeszłym wieku. Później w r. 1861 w czasie wakacyjnym wyprawiła mnie matka z moją siostrą do Osięka. Wtedy dopiero zaszła bliższa nasza znajomość. Muzyka moja, zwłaszcza kompozycja, zajęła żywo p. Januszkiewiczową.

W r. 1859 opuściłem Kraków, przenosząc się do Pragi czeskiej z namowy mego brata Stanisława, który tam przez lat dwa przebywał, ukończywszy studia prawnicze, i kształcił się w muzyce pod kierunkiem słynnego wirtuozu Aleksandra Dreyschocka. Polecił mi przeto do nauki harmonji i kontrpunktu znakomitego kompozytora i organistę Józefa Krejczygo. Rzeczywiście usłuchałem jego rady, czego nigdy nie żałowałem.

Przechodząc teraz do studiów uniwersyteckich. Zapisawszy się na wydział filozoficzny, zapoznałem się bliżej z dr. Robertem Zimmermannem, który bardzo interesował się moją muzyką, zapraszał mnie do siebie na wieczory, musiałem mu grać sonaty Haydna i Beethovena. Szczególniej zachwyciło go moje wykonanie sonaty es-dur Haydna. Mówiliśmy przeto o mojej przyszłej karierze. Bardzo mi pochwalał myśl doktoryzowania się, ale był przeciwny powrotowi do Krakowa. „Bądź pan spokojny, uwzględnij pański główny fach, t. j. muzykę, i nie będnymy wymagali studiów takich jakich

¹⁾ Uprzejmości Tadeusza Żeleńskiego (Boya), syna znakomitego kompozytora, zawdzięczałem drukowane tu pamiętniki, częściowo tylko wyzyskane przez Felicjanę Szopskiego w jego biografii autora „Goplany”. Kilka ustępów mniej ważnych i bardziej fachowych pomijamy dla braku miejsca.

wymagamy od fachowych profesorów gimnazjum i uniwersytetu. Będziesz miał cztery egzaminy: filozofię, historię, matematykę i fizykę, język grecki i łaciński są u nas uważane za potrzebne dla filologów i profesorów uniwersytetu". Kada ta trafiła mi do przekonania, i zaraz wziętem się do studiów nad filozofią. Dr. Zimmermann ułatwił mi jeszcze moje studia, ogłosiwszy wykład na drugie półrocze logiki i psychologii, dlatego głównie żebym mógł jeszcze przed wakacjami zdać pierwsze rigorosum z filozofii. Dzięki znacznej pomocy dr. Zimmermanna udało mi się zdać egzamin z odznaczeniem. Rok szkolny jeszcze zakończyłem wykonaniem mego skryptu z bardzo dobrych wykonawców, w obecności Krejczygo i kilku recenzentów, mianowicie Uhnen z „Bohemii". Później wróciłem uszczęśliwiony do domu.

Rok następny był dla mnie bardzo pracowity. W końcu grudnia 1861 r. zdałem rigorosum z matematyki, które zdałem dobrze choć nie z odznaczeniem. Przy egzaminach łatwych, do których nie byłam tak przygotowany jak do trudniejszych, zaliczałem się, zato trudniejsze z analizy i trygonometrii poszły doskonale. Przy końcu kwietnia zaliczyłem się z trzecim rigorosum z fizyki. To najgorzej wyszło, bo tylko z większości głosów. Najgorzej wypadły pytania z opisów różnych maszyn, do czego ja żaden nie miałem talentu, mechanikiem, prócz na fortepianie, nie byłem zupełnie. Studia moje w muzyce szły pośpiesznie tempem, tak w teorii jak w grze organowej. W kompozycji, a mianowicie w pięciu pieśniach do królowodworskiego repertuaru, postęp okazał się znaczny, szczególnie zaznaczył się w nich typ słownictwa, który zawiązywał się w Pradze, gdzie duch narodowy zaczął się budzić u Czechów, którzy przedtem ulegali wpływowi niemieckiemu. Przedtem rzad-

ko dawał się słyszeć język czeski albo zepsuty niemieczyna. Już w r. 1861 zaczęły się początki powstania, mnóstwo młodych emisariuszów przyjeżdżało do Pragi z misją szerzenia idei polskiej, szczególnie między Czechami. Pod wpływem tym zacząłem tworzyć „Hymn orłów" do słów Edmunda Wasilewskiego (wykończyłem go dopiero w Paryżu w r. 1869). Muzyka moja bardzo się podobała moim współtowarzyszom-rodakom, a kiedyś wyjął mi ją myśl że w razie wybuchu chcę iść do powstania i walczyć za ojczyznę, wszyscy mi odpowiedzieli, że mnie nie wolno narażać życia, które jest potrzebne dla sztuki narodowej. „Szkoda twego talentu". To mnie zachęcało i podniecało moją twórczość.

W r. 1862 złożyłem ostatnie rigorosum z historii, które wypadło pomyślnie, t. j. jednoznacznie. Czułem się już swobodniejszy i całą duszą oddałem się muzyce. Skomponowałem preludia organowe, fugi i popisywałem się nimi na popisach w szkole organistów. Fortepian zabierałem, grywałem tylko tyle ile mi było potrzebne do kompozycji.

W r. 1862 miałem dziwną i zabawną przygodę. We wrześniu obchodzono rocznicę zwycięstwa Jana III pod Chocimem. Proszono mnie abym zagrał coś na organach w kościele parafialnym w Niegowie. Zaczęłem preludować, a potem w stosownej tonacji przeszedłem do naszej pieśni „Boże coś Polskę", którą cały kościół zaczął śpiewać. To widocznie nie spodobało się naszemu rządowi austriackiemu, gdyż w parę miesięcy powołali do odpowiedzialności organistów z Niegowie, czyniąc go odpowiedzialnym za pieśń narodową surowo zakazaną. Ten zaś wykrecał się o ile mógł, twierdząc, że kto inny grał a on na chórze wcale nie był. Padło więc na poszukiwanie mojej osoby. Szukano mnie po różnych kra-

jach, aż nareszcie znaleźli mnie w Pradze, dopiero w maju 1863 r. Wezwano mnie do urzędu policyjnego i tam oznajmiono mi że mam natychmiast stawić się w Krakowie w sądzie karnym w ważnej sprawie. Na to odrzekłem, iż w żaden sposób nie mogę spełnić tego rozkazu, gdyż (wtem odwinąłem kieszeń od niższego ubrania) nie posiadam ani centa na podróż. „Chybabyście mnie szupasem odstawili, wzięwszy kosztą podróż na waszą odpowiedzialność". Przyzwolili nareszcie na prośbę moją, że zaczekają aż mi przysłane będą pieniądze na tę niespodziewaną podróż. Rzeczywiście w początku czerwca wyruszyłem do Krakowa w sprawie sądowej, oraz na ślubną uroczystość Anny Wielowiejskiej, mojej kuzynki, z Adolfem Szychem, szanownym obywatelom z Królestwa. Wesele odbyło się u pp. Zakaszewskich, bliskich krewnych panny młodej. Teraz wracam do sprawy w sądzie karnym. Nazajutrz po przybyciu do Krakowa, o godz. 10 przed południem stawilem się przed urzędnikiem, który mnie zaczął wypytwać o nabożeństwo w Niegowie, na którym led śpiewał pieśń patriotyczną. Odpowiedziałem, że ja zacząłem same preludia, a że lud zaczął śpiewać, musiałem jako muzykalny zastosować się do melodii, aby nie było fałszu. Tłumaczenie moje nie zadowoliło urzędnika, groził mi aresztem, a nawet odebraniem dyplomu doktora filozofii, a nawet aresztem. Na to „dictum acerbum" odpowiedziałem że właściwie dotąd nikt nie wie że jestem doktorem filozofii, a po mojem aresztowaniu ludzie się o tem dowiedzą i uczczą mnie należyście, a co do aresztu zgadzam się, wszak tytu już siedzi, to i ja mogę przyjąć tę karę. Po kilku podobnych indagacjach skończyło się na niczem, i spokojnie wróciłem do Pragi.

Było to w r. 1863. Wogóle rok był nieszczęsny dla nas. Powstanie, które

wybuchło w styczniu, nawet w Pradze dało się odczuć. Wszyscy Polacy, zamieszkał tamże dla studiów, poczuli się do obowiązku pójść walczyć za ojczyznę. Jedni odrazu ruszyli do powstania, a inni jeszcze spełniali różne funkcje jako emisariusze polityczni. Ja sam wielką miałem ochotę powodowania, ale moi towarzysze odradzali mi to: „Na nic się nie przydasz, a szkoda twego talentu". Mnóstwo krewnych i znajomych nawiedzało Pragę w celu zakupów broni, amunicji i innych przyborów wojennych. Z braci moich młodszy ode mnie Kazimierz na wiosnę poszedł walczyć, co jednak bardzo krótko trwało. Ledwie przeszedł granicę pod Sycami (miłe od Krakowa), ledwie się spotkał z oddziałem rosyjskim, został wzięty jako niewolnik do austriackiego posterunku, który zabierał naszych powstańców i odstawiał ich do więzień. To było szczęście dla niego, bo byłby marnie zginął, gdzie dużo naszych poległo w strasznej walce. Wyknał się szczęśliwie z odprowadzającej go straży, jako zręczny gimnastyk skoczył niepostrzeżenie na dach niskiej chałupy, a przez okienko dostał się na strych, gdzie przesiedział parę godzin. Dostał się potem szczęśliwie do Krakowa, tak zmęczony w obdarciem odzieniu że ledwie go poznano. Drugi raz już nie próbował żadnych ekspedycji jako powstańca i zabrał się do swoich studiów prawnych. Ciężkie to były czasy. W r. 1864 przesiedziałem dłuższy czas w Krakowie. Skomponowałem dużo pieśni, zwłaszcza do słów Zaleskiego i Lenartowicza. Ledwie co opuściłem Kraków, dowiedziałem się już w Pradze o aresztowaniu mego brata Stanisława, Zakaszewskiego i innych krewnych i znajomych. Potem już wszystko się uspokoiło. Polskę naszą zdusili Moskale, a w Galicji ogłoszono stan oblężenia.

Władysław Żeleński.

2 rewelacje Voigtländera

BESSA — KAMERA Z CYNGLEM
NA DENKU, KTÓRA FOTOGRAFUJE
SIĘ Z BŁYSKAWICZNĄ SZYBKościĄ
SIŁA ŚWIATŁA OD 7,7 DO 3,5

BRILLANT — NAJPOPULARNIEJSZA
NA ŚWIECIE KAMERA LUSTRZANA, PO-
ZWALA NAWET POZATKUJACEMU
WŁASCIWIE UCHWYCIĆ MOTYW.

NO I OCZYWISTE BŁONA Voigtländera

PROSPEKTY BEZPŁATNIE W FOTOKŁADACH
ORAZ W JEN. REPREZENTACJI: WARSZAWA, CHMIELNA 47A

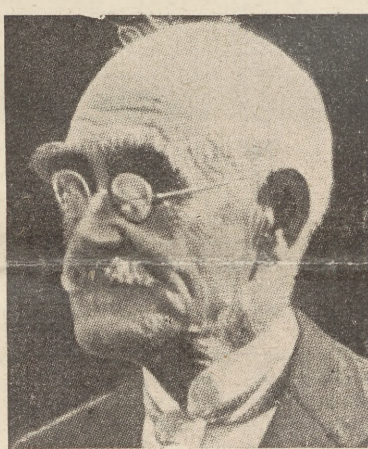
Autobiografia Kiplinga

Kipling zabrał się do spisywania swych wspomnień w r. 1935. Nie zdążył ich skończyć. Urywają się one na wrażliwości z podróży do Stockholmu, przedświadczenia dla odebrania nagrody Nobla, a więc na zdarzeniach z r. 1907.

Co więcej, i ta część wspomnień, którą zdążył spisać, nosi na sobie ślady niewykończenia. Wtajemniczając nas w arkana swojej sztuki pisarskiej, zaznacza iż zawsze pozwalał swemu „demonowi" swobodnie się wygadać. Potem dopiero, skoro rzecz już była w całości napisana, kilkakrotnie odczytywał ją, dokonyując licznych skrócen i szczegółów nieistotnych. Otóż autobiografia jego przez taki proces rewizji najwyraźniej nie przeszła. Pełno w nich błahych anegdot, drobniaków, bez których byłaby się i wielotomowa biografia, a co dopiero książka, która na dwustu stronach ma zamknąć przeżycia czterdziestu z górą lat bogatego w przygody życia. Drażni to tem bardziej, że równocześnie przy pewnych ważnych, istotnych zdarzeniach Kipling jest dziwnie mało mówny. O jego życiu małżeńskim i żonie nie dowiadujemy się z tej książki niemal nic. Powściągliwość w tej materii można by jednak łatwo wytłumaczyć dyskrecją, niechęcią do eksponowania. Nie wszystkie jednak niedopowiedzenia tej książki mają takie wytłumaczenie. Tak np. z krótkiej wzmianki o dowiadujemy się, że w r. 1885 wstąpił w Lahore do loży masonskiej. O tem jednak, czy i jaką rolę odegrała ta loża w jego życiu, jak długo był masonem — daremnie szukać w książce jakichś informacji. Zato kiedy indziej, gdy będzie opisywał swoją tryumfalną podróż do Kanady, nieomieszkając poinformować czytelnika o szczegółach swego menu w czasie podróży: „it was the season of blueberries and wild duck". Najdziwniejsze jego „demon" był w czasie spisywania tych wspomnień w bardzo kapryśnym usposobieniu.

Mimo to wszystko książka jest bardzo ciekawa. Zwłaszcza że jej rozdziały, które traktują o dzieciństwie i młodości pisarza. Atmosfera powieści Kiplinga, pełna akceptacji życia, a nadewszystko autobiograficzna powieść z życia szkolnego „Stalky & Co", każeby przypuszczać, że dane mu było przeżyć młodość pogodną i beztrudną. Nie podobnego. W piątym roku życia odesłano go z Indji do internatu w Southsea, w którym dostał się w ręce jakiejś purytańskiej jedy, był systema-

tycznie bity, karany głódówką, musiał się jak z przestępstwa tłumaczyć z każdego uśmiechu. Jedyną pociechą były ferie, spędzane u wujka, znakomitego malarza Burne Jonesa, i książki, w których się zaczytywał po kątach, psując sobie na ca-



RUDYARD KIPLING

łe życie wzrok. Miewał halucynacje. Trzeba było wielkiego hartu ducha, żeby się w ciągu sześciu lat spędzonych w takich warunkach nie załamać i wyjść z tego piekła człowiekiem moralnie zdrowym.

Potem przyszły lata szkolne, opisane w sławnej powieści o trzech urwisach (sam Kipling występuje tu pod nazwiskiem Beetle'a). Nie trwały one długo. Miał lat siedemnaście, kiedy wrócił do Indji i w Lahore poświęcił się dziennikarstwu. W małej prowincjonalnej gazecie on i jego szef stanowili cały sztab redakcyjny. Praca miała być obojętna do dziesięciu do piętnastu godzin na dobę, męczyła go febra i dysenterja, chorował z przepracowania, a mimo to czuł się szczęśliwy. Praca dziennikarska mu odpowiadała, był blisko ukochanych rodziców. Kiedy później, z perspektywą pół wieku będzie robił bilans tych lat, stwierdzi, że nauczył się w tej dziwniej redakcji dokładności i zwyczaj sprawdzania informacji.

Ciąg dalszy jest ogólnie znany. W r. 1885 rozpoczęła ogłaszanie w miejscowej „Civil and Military Gazette" serji opowiadań „Plain Tales from the Hills". Od tam zaczyna się rosnące sukcesy. Kiedy z końcem r. 1888 postanowił rzucić dziennikarstwo i przenieść się do Anglii, będzie już w ogólnie znanym, sławnym autorem.

I rzecz ciekawa. Teraz właśnie, u dojrzałego już pisarza, będą uderzały czytelnika tej autobiografii pewne dziecięce rysy jego psychiki. Z jaką uciechą i jak szczegółowo będzie pisał o wrażliwości związanych z jazdą na rowerze, pierwszym samochodem, turbiną wodną, założoną przy jego domu w Burwash — zupełnie jak dziecko opowiadające o nowych, niezwykłych zabawkach. Stąd zapewne wywodzi się wielka świeżość i bezpośredniość spostrzeżeń i przedewszystkiem żywe zajęcie się zwierzętami. Z pewnością, ale przez to właśnie rozbrajającą i sympatyczną prostotą opowiada tu też Kipling o objawach swojej niezwykłej popularności i poczytności.

Ze szczególną ciekawością wychwytywa się z książki usterki charakterystyczne Kiplinga jako herolda angielskiego imperializmu, mówiące więc o tej stronie jego działalności, której zawdzięcza swoje szczególne stanowisko już nie tylko w literaturze, ale i w życiu kulturalnym Anglii na przełomie XIX i XX w. Tutaj jednak spotyka czytelnika pewien zawód. Imperialistyczny patriotyzm jawia się w tej książce odrazu gotowy jako jedyna możliwa, „naturalna" postawa ideologiczna i przez cały ciąg życia przetrwa bez żadnych zmian. Ani śladu jakichś wahań, dopracowywania się swego stanowiska, przewidywania wątpliwości. Dlatego czytelnika — zwłaszcza obcego — postawa ta drażni swoja łatwiną i prymitywizmem. Wzór i idea znajdują w opisywanym z najwyższym uwielbieniem Cecilu Rhodesie. Najczęściej znajduje w tej książce wyraz negatywny: w pasji i zgrzytliwości, z jaką mówi się tu o źródle wszelkiego zła w świecie, o liberalizmie, oraz w niechęci do obcych: Kipling mocno nie lubi Żydów, nie cierpi Irlandczyków, lekceważąc odzywa się o obcych imigrantach do Stanów Zjednoczonych, o Irlandczykach, Włochach, Niemcach. Szacunek żywi tylko dla Szwedów, wielką sympatię — dla Francji.

Jako samoiste dzieło sztuki autobiografii Kiplinga — mimo pewnych scen o wyjątkowej plastycznej słowności (jak wspaniały w swej zwartości i ekspresji opis wizyty w ciemnym i cichym zamku królewskim w Stockholmie w kilka dni po śmierci króla lub pierwsze dziecięce wrażenia indyjskie) stoi daleko poza jego wielkimi powieściami. Jest zato pierwszorzędny dokumentem do poznania znakomitego pisarza i jednego z najciekawszych ludzi Anglii współczesnego mu pokolenia. Jej brulionowość jest z tego punktu widzenia jej wielką zaletą.

Quidam.

Kronika zagraniczna

NIEMCY

Jubileusz uniwersytetu w Getyndze.

Uniwersytet w Getyndze obchodził w czerwcu b. r. jubileusz dwuchsetcia swego ponownego otwarcia (po raz pierwszy uniwersytet założony był w r. 1734). Jubileusz ten zbiega się z inną rocznicą: sławnego ustąpienia w r. 1837 siedmiu profesorów z Getyndgi, którzy protestowali przeciw wycofaniu liberalnych ustaw przez króla Hanoweru. Jak wiadomo, do przewrotu hitlerowskiego uniwersytet w Getyndze był sławny na cały świat ze swego studium matematyki. W r. 1933 studium to rozgromiono: większość profesorów musiała opuścić swoje katedry.

Prof. C. J. Burckhardt o Niemcach.

„Das Neue Tagebuch" przedkłada ciekawą opinię o narodzie niemieckim prof. C. J. Burckhardta, obecnego komisarza Ligi Narodów w Gdańsku. Przytoczony tu cytaty wyjęte z wydanej w r. 1926 książki Burckhardta „Kleinasiatische Reise": „...ten dziwny i samotny naród, w którym najwyższe i najniższe właściwości w tak złowrogim przemierzaniu żyją obok siebie, tak że bardzo często sama wzniosłość zamazuje granice podłości, i powstaje ta bezgraniczna niemieckość oceny („diese grenzlose Urteilsschwäche"), która Goethego przez cały ciąg życia tak okropnie przerażała w naturze jego narodu".

Tytuły. „Das Neue Tagebuch" podaje tytuły, w jakie pólurzędowy dziennik niemiecki „Völkischer Beobachter" pozaoptymował artykuły i notatki o rzekomych wykroczeniach seksualnych księży katolickich. Wszystkie one zebrane są z jednego tylko numeru pisma — z dn. 29 kwietnia b. r.: „Kościół i klasztory ściągają do roli domów hańby" („Kirchen und Klöster zu Lasterstätten erniedrigt"), „Zecerz maskę ze zbrodniarzy seksualnych!", „Wzbudzające obrzydzenie fakty

mają większą siłę dowodową niż tuszujaące wybiegi politycznego katolicyzmu", „Okropne szczegóły", „Wyleganie homoseksualizmu", „Zakryta zamięta w burdel", „Kpiny z Boga i Chrystusa".

Śladem Sowieć. Muzeum Państwowe w Berlinie ogłosiło wielką aukcję. Ma być sprzedanych 777 dzieł, w tem 21 zabitych starożytnych i włoskiej plastyki, 54 rzeźb niderlandzkich, niemieckich i francuskich, 213 tkanin artystycznych, 120 przedmiotów porcelanowych i 120 obrazów. Jako oficjalny powód sprzedaży podano w katalogu znaczny przyrost zbiorów muzealnych, wskutek czego szereg „zbytecznych" dzieł sztuki musiałby na stałe bezużytecznie tkwić w magazynach. Rzeczywistym powodem jest brak dewiz. Tylko ta okoliczność może wytłumaczyć, iż wśród „zbytecznych" dzieł sztuki znalazły się obrazy Breughela, van Dycka, Jordana, Fra Angelica, Belliniego, Tiepola i Tintoretta.

Stulecie Tauchnitza. Znanie niemieckie wydawnictwo autorów angielskich Tauchnitza w Lipsku obchodziło w czerwcu b. r. stulecie swego istnienia. Sławną bibliotekę Tauchnitza („Tauchnitz Edition" rozpoczęła się w czerwcu r. 1837 od tomu E. R. Bulwer-Lyttona. Drugim autorem serji był Dickens. Dziś obejmuje ona 5260 angielskich książek, które się rozeszły w nakładzie czterdziestu milionów egzemplarzy.

Szkice Polgara. Nakładem zürichskiego wydawnictwa „Humanitas-Verlag" ukazał się tom szkiców Alfreda Polgara „Sekundenzeiger". Krytyka podkreśla bryść obserwacji Polgara, jego zdolność ukazywania głębszego sensu prostych i błahych napozór wydarzeń codziennego życia.

„Anti-Klages". Max Bense wystąpił w wydaniem przez berliński „Widerstands-verlag" studium „Anti-Klages oder von

der Würde des Menschen" z gwałtownym atakiem na popularnego obecnie w Niemczech psychologa i filozofa Ludwiga Klagesa. Zarzucono tu jego filozofii dekadencję, bezpłodność, niewiarę w człowieka i kultuwanie tendencji, które hamują, rozwijanie mocy („Machtentspannung").

Brüning w Oxfordzie. B. kanclerz Rzeszy Brüning wygłosił w oxfordzkim „Queens College" cykl wykładów na temat teorii polityki.

Libretta operowe z Moljera i Wedekinda. W Bazylii wystawiono po raz pierwszy operę „Tartuffe" Hansa Hauga, do której libretta dostarczył moljerski „Świętoszek", w Zürichu zaś odbyła się prapremjera opery Albana Berga „Lulu", libretto do tej opery skonstruowane jest na podstawie fabuły dwóch dramatów Wedekinda: „Ducha ziemi" i „Puszkii Pandory".

Nowa opera Richarda Straussa. Richard Strauss napisał nową operę p. t. „Daphne".

Najpopularniejsza operetka. W Austrii dokonano zestawień, ilustrujących popularność poszczególnych operetek. Pierwsze miejsce zajęła „Wesoła wdówka" Lehara: 10 000 spektakli.

Ostatni Żyd. W kwietniu b. r. ustąpił z opery berlińskiej jej dyrektor muzyczny Leo Blech. Blech, z pochodzenia Żyd, pracował w operze berlińskiej od r. 1906 i mimo czystek utrzymał się na swem stanowisku także i po przewrocie hitlerowskim, podobno dzięki poparciu Goeringa, nie wolno mu jednak było dyrygować operami Wagnera. Manifestacyjna sympatia, jaką okazywała mu publiczność berlińska, sprawiła iż w czasie ostatniej serji zarządca antysemitki zdecydowano się również na spensjonowanie znakomitego dyrygenta.

FRANCJA

Et pour leur prouver sans déba
Kil e dé mo n'atin pa
Leur sistem(e), dison-leur: „Merde!"

O Renanie. Plon wydał książkę o Renanie Henriette Psichari: „Renan d'après lui-même". Wyższkano tu po raz pierwszy bruliony jego dzieł.

Podwójny akademik. Georges Duhamel, członek od roku Akademii Francuskiej, został obecnie obrany członkiem Akademii Medycyny, zyskując w ten sposób prawo do noszenia obok zielonego także i amarantowego fraku. Z przywileju tego korzystał przed nim tylko trzech Francuzów: Litré, Pasteur i Clemenceau.

Chateaubriant o Trzebiej Rzeszy. U Grasset'a wyszedł tom wrażeń z podróży do Niemiec hitlerowskich Alphonse'a de Chateaubriant „La gerbe des forces, Retour d'Allemagne". Jak widzimy, Chateaubriant nawiązuje w tytule do sławnej książki Gide'a.

Jeana Cocteau podróż nakoło świata. Nakładem „nri" ukazała się nowa książka Jeana Cocteau „Mon premier voyage (Tour du monde en 80 jours)". Cocteau, oczarowany urznaną w teatrze Châtelet przerobką popularnej powieści dla młodzieży Verne'a „Podróż nakoło świata w 80 dni", postanowił pójść śladami bohatera powieści Philéasa Fogg'a i odbyć podróż nakoło świata o tem samym itinerarium, trwającą tak samo 80 dni i odbył przy pomocy tych samych środków komunikacji (a więc z wykorzystaniem samolotów). Wyruszył w podróż — na Suez, Bombay, Hong-Kong, Yokohamę, San Francisco, New York i Londyn — dn. 28 marca ub. r., wrócił do Paryża dokładnie po 80 dniach: 17 czerwca. Powstała z tego książka „bajecznie kolorowa", peł-

na poetyckiego uroku, tem żywsza iż wyprawa, o której opowiada, była pierwszą podróżą Cocteau, parzyżanina-domatora.

Powieść Bernanosa. U Plona wyszła nowa powieść Georges'a Bernanosa „Nouvelle histoire de Mouchette". Książka opowiada o dalszych losach bohaterki „Pod słońcem szatana" Mouchette, która zgwałcona walczy ze swem nieszczęściem, aby ostatecznie ulec mu i popełnić samobójstwo. Jak wynika z wywiadu ogłoszonego w „Candidie", impulsu do napisania tej powieści dostarczyły Bernanosowi, którzy trzy ostatnie lata spędził w Palmie na Majorce, niedawne hiszpańskie doświadczenia wojenne.

Nowele Monfreida. Głośny ze swych książek o Abisynji awanturnik i reporter Henry de Monfreid ogłosił u Tisnégo tom nowel na tematy wschodnie „Le serpent de Cheik Hussien". W jednej z nich występuje negus Haile Selassie, przedstawiony — jak informują „Nouvelles Littéraires" — jako „rodzaj Cezara Borgi".

Wystawa sztuki francuskiej. Wbrew pierwotnemu planowi, który przewidywał tylko zorganizowanie pokazu sztuki współczesnej, komitet wystawy paryskiej zdecydował się na urządzenie wielkiej retrospektywnej wystawy sztuki francuskiej od XIV do końca XIX w. Postanowiono oprócz wystawy przedewszystkiem na arcydziełach sztuki francuskiej znajdujących się zagranicą, aby nie ogłacać muzeów paryskich. Z Belgradu sprowadzono płótna Poussina, ze Stockholmu — Bouchera, z Bostonu — Greuze'a, z Berlina — Watteau, z Moskwy — Cézanne'a, z Genewy — Corota, z Filadelfji — Degasa, z Leodium — Ingresa, z Amsterdamu — Toulouse-Lautrec'a, z Nowego Jorku — rysunki Daumiera.

Ukazał się nowy zeszyt „SKAMANDRA" (za lipiec – wrzesień b. r.)

przynosi następujące prace:

akt III sztuki Jerzego Zawieyskiego „Powrót Przelęckiego", szkic Stanisława Hel-sztyńskiego „Krzyż Wielkiego Hierofanta", wstęp do „Sztuki Indji" Michała Sobieskiego i Ireny Piotrowskiej, wiersze Wojciecha Bąka, Jana Brzechwy, Zuzanny Ginczanki, Jarosława Iwaszkiewicza, Marji Jasnorzewskiej (Pawlikowskiej), Świątopełka Karpińskiego, Józefa Łobodowskiego, Eugenjusza Morskiego, Antoniego Słonimskiego, Adolfa Sowińskiego, Elżbiety Szemplińskiej-Sobolewskiej, przegląd teatralny Ireny Krzywickiej, okładkę Marji Obreńskiej

Cena zeszytu zł. 2.50

dla prenumeratorków „Wiadomości Literackich" zł. 1.50

Contr(e) ce tã de brav(e) jan
O fon plus bête ke méchan,
Drapan leur linguistic étie
Dan l'ortograf fonétic;

i ończył się następująca dobrą radą:

Tanie podróże do Z. S. R. R.

Specjalne wycieczki na V Festival Teatralny (1-25 września 1937 r.), wycieczki przemysłowe, pedagogiczne, sportowe i dla lekarzy przez „INTOURIST”

Szczegółowych informacji udzielają wszystkie placówki „ORBIS U” oraz Dział Turystyki Sowieckiej, Warszawa, Marszałkowska 153

Tamże sprzedaż biletów kolejowych i okrętowych na Bliski i Daleki Wschód, do Palestyny i z powrotem przez Z. S. R. R.



„Czarne skrzydła” w nowej szacie

Juliusz Kaden-Bandrowski, Czarne skrzydła. Lenora. Tadeusz. Wydanie III („Lenora”) i II („Tadeusz”), przejrane i poprawione przez autora. Okładka kompozycji **T. Piotrowskiego**. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1937); str. 355 i 5nł. (I), 330 i 6nł. (II).

Kiedy Flaubert ogłaszał w r. 1874 trzecią i ostateczną wersję „Kuszenia św. Antoniego”, ówczesna krytyka literacka podkreślała podziwu godną wytrwałość pisarza w dążeniu do artystycznego absolutu. Autor „Madame Bovary” charakteryzował samego siebie w następujący sposób: „Tkwią we mnie dwa odrębni i różni ludzie: jeden zakochany w słowie, w lirycie, w orlich wzlotach, w muzycznych dźwiękach i we wzniosłościach idei. Drugi, to poszukiwacz prawdy za każdą cenę, wydobywający ją z równą energią z małych i wielkich wydarzeń i chcący dać odczuć niemal materialnie to wszystko co oddziałuje na życie”.

Tęsknota do ideału formy i do wierności realistycznej jest dla prawdziwego artysty niewyczerpanym źródłem niepokoju i nieustannym bodźcem do wewnętrznego doskonalenia się. Są pisarze, którzy odnoszą się do swych dzieł po maozemu. Każdy etap swej twórczości uważają za wynik walki, do której niechętnie wracają. Dzieło, oderwane od twórcy, zaczyna żyć samodzielnym życiem a pisarz, idąc naprzód, nie troszczy się o losy swej książki. Nie ogląda się za siebie.

Ale jest inny gatunek twórców, — należą do nich Wyspiański, — którzy płomieniem swego artystycznego ideału ogarniają nieustannie wszystko co kiedykolwiek stworzyli. Ich twórczość jest nie tylko dążeniem naprzód, ale rewizją wszystkiego co zrobili; tęsknota do prawdy jest w nich tak wielka, że każde do niej zbliżenie uważają za tryumf i powód do zmian, przeróbek i reform. Co dla tamtych jest klęską, tym znaczy drogę zwycięstwa.

Rewizjonizm w stosunku do samego siebie posiada nieskończenie różnorodne oblicze, tak jak niekończąca się jest zasięg myśli twórczej, niewyczerpane w poszukiwaniu prawdy, w odnajdywaniu najbardziej do niej zbliżonego wyrazu. Nie zawsze artysta wypowiada się najlepiej w swoich nowych utworach. Zwłaszcza pisarz, który jak Kaden chwycił życie na gorąco, aktualności podnosi na wyżyny powieściowej przenosi i stwarza nie tylko wizję zastanego świata, ale świata stającego się i poszukującego nowych kształtów.

Konfrontacja współczesności, przechodzącej powoli do historii, z dniami dzisiejszym, z jego patosem i ideowością, należy do najbardziej ryzykownych zadań. Na naszych oczach rozpada się przecież w gruzi wspaniały systemy ideowe. Poszukiwanie prawdy i ustanawianie coraz to innych praw przybrało charakter zarazem rewolucyjny i neurasteniczny. Film życia, przesuwający się z tak błyskawiczną szybkością, iż trudno zdać sobie sprawę z przełomów, jakie się w nas i dookoła nas dokonywają. Trzeba dopiero o tych słynnych kadenowskich „budystycznych trzech minut”, aby „oderwać się od swych zajęć i popatrzyć przytomnie na wszystko co nas otacza”. A wtedy „zawyje się z przerażenia”.

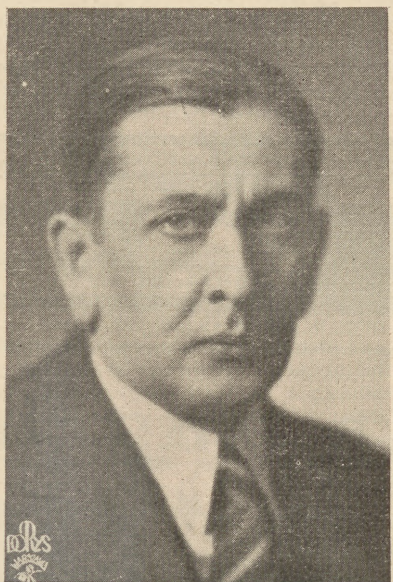
Buddystyczne spojrzenie na rzeczywistość polską, które stanowiło przed niespełna dziesięć laty prawdziwie rewolucyjny czyn Kadena, zachował pisarz w nowym wydaniu „Czarnych skrzydeł” bez żadnej zmiany. Trzeba było nielada siły ideowej i mocy wewnętrznego przekonania, aby właśnie dzisiaj podkreślić, że założenia, z których wyrósł „Czarne skrzydła”, pozostały niezmiennione, że „nie można budować wśród mroków”, że najwęższą próbą, na jaką każdy z nas jest wystawiony, jest „próba człowieka”.

Jeżeli z perspektywy minionych lat będziemy oceniać znaczenie „Czarnych skrzydeł”, uderzyć nas musi surowa, nie uznająca kompromisów, etyczna postawa autora. Pamiętamy przecież wszyscy, z jakim wraskiem, przyjęto z prawa i z lewa pojawienie się „Lenory” i „Tadeusza”. Na prawicy posunięto się nawet aż do oskarżeń o zdradę, imputując Kadenowi — klamliwe zresztą — że opisuje stosunki na Górnym Śląsku, a to mogłoby wyzyskać Niemcy na terenie międzynarodowym. Z lewicy wymyślano pisarzowi od fałszywost, zarzucając mu odstępstwo od ideałów postępu i demokracji. Nie brakło także zarzutów, że Kaden-Bandrowski w postaci sygnalisty Dusia gloryfikuje polskich komunistów.

Ze wszystkich stron posypały się na pisarza inwektywy, zarzuty i insynuacje. Ale uciuchy one szczytnie nie przypuszczano. Zwykła wielka pasja artysty, który wziął w swoje serce „sprawy swojego czasu”. Odniosła zwycięstwo wspaniała budowa słowa powieściowego, niezwykła, prześwietlona najprawdziwszym życiem plastyka postaci powieściowych, a nadewszystko niemal jasnowidząca postać twórcy, który, ukazał Polsce świat jej robotnika ze wszystkim co ten świat gnębi, rozkłada, niszczy i deprawuje.

Przed dziewięć laty pisaliśmy na tem samym miejscu (nr. 255): jeżeli „Germinal” Zoli wywołał we Francji rewolucję pojęć, to „Lenora” Kadena, jej wpływ i stosunek do rzeczywistości nie może ograniczyć się jedynie do spraw artystycznych.

I nie ograniczył się. Nie tu miejsce, aby oceniać wpływ Kadena na prozaików młodego pokolenia, którzy zarówno w



JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

problematyce artystycznej jak i w technice obserwacji środowiska robotniczo-przemysłowego, poszli śladami znakomitego pisarza. Wystarczy wymienić Rusinka, Morcinka, Wahnouta, Kurka, Drzewieckiego i innych, dla których ukazanie się „Czarnych skrzydeł” było napewno ostrogią i przebudzeniem z wykwintnych i wyrafinowanych studiów psychologicznych. Wpływ „Czarnych skrzydeł” na kształtowanie się prozy i powieści polskiej trwa ciągle, a po ukazaniu się nowego i poprawionego wydania napewno założy jeszcze szersze kręgi.

Stokroć ważniejszy jednak stał się wpływ „Czarnych skrzydeł” na naszą rzeczywistość. Niewiadomo nawet kiedy, o jakiej porze dnia i roku istotny sens tej dwutomowej powieści wszedł w sferę uświadomienia społecznego, a zbiorowa wyobraźnia zaczęła kształtować polską rzeczywistość robotniczo-przemysłową na podobieństwo postaci i konfliktów, stworzonych przez Kadena w jego „Czarnych skrzydłach”. I podobnie jak w Polsce przedwojennej spójrzano na rzeczywistość oczami Żeromskiego, tak samo po pojawieniu się „Lenory” i „Tadeusza”, dostrzeżono nikczemną kanalię Coeurów i Kostryniów, która rozsiadła się na unerwieniach naszego gospodarczego życia, aby prowokacją i przekupstwem, gwałtem i głodem utrzymywać w posłuchu i pokorze masę robotniczą w imię anonimowych interesów najróżniejszych obcych agentów.

Niedługo trzeba było czasu, aby ci, którzy zarzucali Kadenowi propagandę antydemokratyczną lub faszystowską, zrozumieli że byli legionista i oficer artylerii, Tadeusz Mieniewski, musiał zjechać do Osady Górniczej, aby tam przeciwstawić się wszystkim — od zaprzędanych obcemu kapitałowi Kostryniów aż do „haftowanego” Kapuścika, którego polityczna mądrość ograniczała się do myślenia o własnej karierze. Tadeusz Mieniewski, syn wielkiego wodza socjalistów, miał wszelkie prawo, — gdy przyprawiono go o wzięcia z rozbitą twarzą i z wybitymi zębami, — wołać do ojca, tej najtragiczniejszej może postaci w naszej literaturze: „Nie mów — nic nie rozumiem. Z ciebie, za was wszystkich jestem w więzieniu... Jest jakaś olbrzymia podłość w tem co robisz. Ja jeden żyłem tu uczciwie”.

Skala uczciwego życia, jaka roznurza Kadena na tle groźnego spłotu wydarzeń w Osadzie Górniczej, jest niesamowita. Tadeusz Mieniewski, zaledwie odczuł „radość z odzyskanego śmietnika”, już stanął oko w oko z realizmem polskiego życia, odartego z wszelkiej bogoojęczyźnianej i innej frazeologii. Młody Mieniewski nie poszedł drogą kariery politycznej i osobistej. Skoro tylko dotknął się rozpamiętania rany polskiego górnictwa, odrazu zapomniał o wszelkiej sprawie osobistej i wszedł pomiędzy robotników, aby własnym życiem odkupić ich cierpienie.

To dobrowolne i świadome przeistoczenie się Tadeusza Mieniewskiego w nieznanego nikomu robotnika węglowego Mieniu, posiada głęboko wstrząsającą wymowę etycznego symbolu.

„Za wszystkich tu został” i w kopalni i następnie w więzieniu. I nie tylko za swoich kolegów z frontu, którzy zajęli sprawą budowania państwa, nie dojrzała małej osady górniczej, nie tylko za ojca, brata i rodzinę, ale za tych nieznanych żołnierzy-robotników, którzy w zwartym i niemy szeregach wypełniają sztolnie i szyby, a w kolejnych szachtach swego

pracowitego życia tworzą bogactwo narodu. Nie tylko „za was wszystkich”, ale — przeciw Coeurom, Kostryniom, Supernakom i Kapuścikom, którzy zatrują duszę szarego człowieka, wyniszczają go moralnie i fizycznie, aby wreszcie, jak zmięty lachman, wyrzucić na hałdy węglowe, w żebrzące szeregi inwalidów i bezrobotnych.

Taki był sens posłannictwa Tadeusza Mieniewskiego i taki pozostał.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że na wielką skalę rozpoczęta, dotąd jeszcze w całości nie ukończona akcja unarodowiania przemysłu znalazła się na linii syntetycznych ujęć „Czarnych skrzydeł”. Czy przypominąć rozmaite etapy tej akcji? Sprawy Żyrardowów i innych koncernów przemysłowych, w których zdumione społeczeństwo co krok uświadamiało sobie frapującą analogię z sytuacją ukazaną przez Kadena w jego powieści. Czy przypominać kronikę codzienną, w której odnajdowaliśmy jakby nowo udratyzowane i w najprawdziwszą rzeczywistość wcielone tragiczne konflikty „Czarnych skrzydeł”? Jakże wymowne zwycięstwo odnosił Kaden, kiedy we wstępnych artykułach dzienników politycznych zaczęto wytykać palcami rozmaitych Coeurów i Kostryniów. Na rozprawach sądowych, z powieścią Kadena w rękę występowało w obronie tragicznych Szymczyków, którzy — podobnie jak Tadeusz — „strzelali w to bezprawie”, „wciąż przekładane w normach paragrafów”.

Niewiele jest powieści w literaturze polskiej i obcej, którymby tak olbrzymi wpływ społeczny przypadł w udziale. A jeżeli nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, jeżeli Kaden napotyka na silniejsze niż każdy inny pisarz opory, zwycięstwo jego jest tem większe, im więcej ma trudności do pokonania.

Łatwo jest być mordercem swego pokolenia. O ileż trudniej jest jednym z tych nielicznych, którzy każdemu człowiekowi jego własne zwierciadło przed oczy stawiają i zmuszają do zobaczenia się takim, jakim jest naprawdę.

W zwierciadle „Czarnych skrzydeł” zobaczyli się wszyscy. Zobaczyliśmy się przejakrawieni może tu i ówdzie, ale napewno żywi i prawdziwi tą najgłębszą prawdą, która płynie z podpalenia i dostrzeżenia drobniaków. Zobaczyli się i nie zawsze zrozumieli socjaliści polscy, którzy poprawę doli robotniczej kładli na jednej szali z lokalną polityką rozmaitych posłów Drajków i sekretarzy partyjnych Kozów; zobaczyli się komuniści i zrozumieli, że między sygnalistą Dusiem a Tadeuszem Mieniewskim, nawet pomimo osobistej przyjaźni i wzajemnego szacunku, musi trwać walka na śmierć i życie, bo „ja — Tadeusz — tu jestem zawsze o swoim czasie, a ty — Duś — jesteś w teorii”. Zobaczyła się szara masa robotników, z której Kaden wydobł piękna i porywająca postać Martyla, wilka strajków westfalskich, bywałca zjazdów międzynarodowych. Ale przed wszystkimi przyszył się sobie Kostryni, który swą „obywatelskością” osłaniał zbrodniczą szacherkę rekinów obcego kapitału. Kaden trafił w samo serce zagadnienia i rozpętał burzę, trwającą po dzień dzisiejszy.

Dłatego ideowy trzon „Czarnych skrzydeł” musiał pozostać bez zmian. Konfrontacja wczorajszego dnia z dzisiejszym nie wypadła tak aby pisarz nogi dokonał jakichkolwiek przesunięć i przedstawień ideowych.

Zmiany, przeprowadzone przez Kadena w nowym wydaniu „Czarnych skrzydeł”, posiadają charakter konstrukcyjno-formalny. Są one ważne i znamienne dla pogłębiającej się techniki powieściowej pisarza, który pewnym postaciom — zwłaszcza Coeurowi i Zuzannie Kostryniowie — przydał więcej życia i prawdy.

Poza temi charakterologicznymi przeróbkami, dokonał Kaden olbrzymiej pracy, koncentrującej i zwierającej poweseć w jedną, dynamicznie rozedrganą, szybko rozwijającą się całość. Ofiarą skreślił skróty — a stanowią one co najmniej piątą część powieści — padły wszystkie pleonazmy, nie zawsze ścisłe porównania, fragmenty rozmów już raz gdzieś przeprowadzonych, poszczególne opisy, którym brak było widoczności — zdaniem autora — koniecznych walorów realizmu i prawdy. Wszystko co zatracało o dworacyności i retorykę, zostało z powieści usunięte. Ostała się surowa i najprawdziwsza rzeczywistość artystyczna, zdumowana na nieomylnym wyczuciu każdej postaci i każdego słowa. Ten niespotykany u nas, prawdziwie flaubertowski gd ku ciągnięciu doskonaleniu formy, przynosił świetne rezultaty.

„Czarne skrzydła” w nowej szacie przejdą do literatury jako arcywzór polskiej powieści społecznej, wysnutej z najgłębszej troski pisarza o święte prawo człowieka. A za najświetniejsze uważa Kadena prawo do wolności i do uczciwości społecznej.

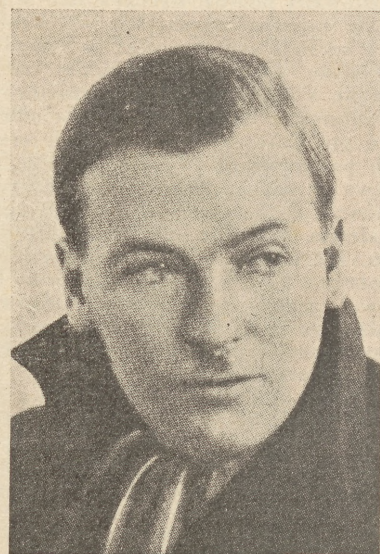
Takie jest credo „Czarnych skrzydeł” — na dzień dzisiejszy.

Emil Breitt.

Powieść Aldingtona

Richard Aldington. Kobiety muszą pracować. Powieść. Autoryzowany przekład **Haliny Gadek**. Tytuł oryginału brzmi: „Women Must Work”. Warszawa, „Lektura”, 1937; str. 390 i 2nł.

Tym razem sięgnięto — o co w naszej polityce przekładowej coraz trudniej — po pisarza z prawdziwego zdarzenia: Aldington jest wybitnym poetą



RICHARD ALDINGTON

georgjańskim, autorem mocnych opowiadań powojennych, a przede wszystkim powieści, która przed kilku laty, w dobie Remarque’a i jego satelitów, odbiła się głośnie echem jako protest przeciw okropnościom wojny. „Śmierć bohatera” (1930) stanowiła spowiedź z osobistych przeżyć autora, który jako oficer łącznikowy brał udział w operacjach armii angielskiej na froncie zachodnim. Poeta wypowiedział się z całą pogardą i gwałtownością przeciw politykom i społeczeństwu sprzed roku 1914, którzy nie potrafili zapobiec rozlewowi krwi.

Niewiele też od tragicznego życiorysu Winterbourne’a, bohatera powieści z r. 1930, odbiega Etta Morison z powieści „Kobiety muszą pracować”. Autor ukazuje psychikę młodej kobiety w okresie tuż przed wielką katastrofą światową. Etta ma w sobie niecierpliwość ducha sufrażystek, choć nie przyłącza się do ich klanu. Ambicją jej jest uzyskanie niezależności finansowej. Nie idzie jej to łatwo. Pracę jej wynagradzają ludzie — czytają: zorganizowany świat męski, pragnący wyzyskać ją na każdym kroku. W parze z tysiącami kłopotami natury materialnej idzie niedostyżny sercowy, znajdujący coraz nową objętość dla swej niepojętej dynamiki. Aldington da jej cztery sylwetki mężczyzn, których losy powiązały się z losami Etty. Zdemnuje z nich nie poskapił zdobywcę, zdecydowanej postawy wobec świata i umiejętnego hedonizmu, demaskując z całym realizmem brutalność ich postępowania wobec kobiet. Sympatja autora jest wyraźnie po stronie tej pracującej młodej kobiety, która otrzymawszy po wielu uderkach posadę w admirałcji, będąc niezależną, zrywa konsekwentnie z formami przesady towarzyskiej i jest dumna ze swego nielegalnego związku. Szanownego ojca rodziny, współnika tegoż związku, należących nadomiar do tak nietykanej w swym autorytecie kategorii ludzi jak sędzia, przedstawiciel prawa angielskiego, odrzucił z pogardą, gdy jej doradza niedopuszczenie do wydania dziecka na świat. Dalszy ciąg entuzjastycznej zwolenniczką matriarchatu zakrawa prawie na bajkę: dzięki poparciu wpływowych przyjaciół, Etta dostaje się do działu reklamy olbrzymich koncernów konfekcyjnych, zajmując pierwszorzędne pozycję w firmie, robi wielkie pieniądze, kupuje majątek, stanowiący niegdyś przedmiot jej marzeń; co z galsworthy’owskiej magii zamku Condorfa pada na koniec życiorysu tej szampionki feminizmu.

Powieść jest pod każdym względem symptomatyczna i warta zanotowania. W fakturze odznacza się dużym realizmem, w treści — mocno postawioną tezą o zarabianiu marxowskim. Co więcej, akcja przewija się smiało środkami współczesnej rzeczywistości anglosaskiej i daje jej przenikliwą diagnozę społeczno-obywatelską.

Przekład potoczny i poprawny.

Stanisław Helsztyński.

W poprzednim 8-stronicowym numerze (715) „Wiadomości Literackich” (12 ilustracji): **Antoni Cwojdziński**: Freuda teoria snów. Akt I. — Wybory uzupełniające do Polskiej Akademii Literatury. Plebiscyt czytelników „Wiadomości Literackich”. — Pisarze polscy o kwestii żydowskiej. Dyskusja na łamach „Wiadomości Literackich”. **Henryk Dembiński**: Europejskie poczucie godności. — **Tadeusz Żeleński (Boy)**: Ostatnia legenda Krakowa. — **Irena Krzywicka**: Komuna artystów. — **Juljan Prusinowski**: Psychologia indywidualna Adlera 1870 — 1937. — **J. A. Wilder**: Książka Strasburga o Gdańsku. — **K. W. Zawadzki**: Gwałt ortograficzny. — **Wanda Borudzka**: Opowiadania z życia dzieci. — **Bolesław Dudziński**: Wśród książek. — **Antoni Slonimski**: Kronika tygodniowa. — Polska zagranicą. — **Tadeusz Breza**: Pickwick w Hajnówce. — **Rafał Malczewski**: Trzy po trzy o sporcie. — **Stefan Zaborska**: Nowe filmy. — **jam.**: Przeląd prasy. — Camera obscura. — „Kurjer Polski” o numerze morskim „Wiadomości Literackich”. — Korespondencja. — 10 lat temu. — Tydzień bibliograficzny. — Książki nadesłane.



EPOPEA EMIGRACYJNA

Jolán Földes. Ulica Kota Rybołowcy. Powieść odznaczona pierwszą nagrodą 4000 £ Międzynar. Konkursu Powieściowego w Londynie (All Nations Prize Novel Competition) w roku 1936. Przetłóżył z węgierskiego **R. Sillei**. Okładkę projektował **Konstanty M. Sopoćko**. Lwów, Książnica-Atlas, (1937); str. 304.

Książka Jolán Földes, jest epopeą emigracji w Paryżu, tej międzynarodowej zbieraniiny zbierających i banitów różnej narodowości, których fala rewolucyjnej euro-



JOLÁN FÖLDES

pejskich po wielkiej wojnie wyrwała z ojczyznych pieleszy, żeby ich rzucić na bezdomną tulałkę po świecie. Tu, na obcoziemi, fanatyzm polityczny traci ostry, płomień przekonania opada, ułtania się w nieskończonych dysputach, w czezej gadaninie.

Emigranci stanowią jakby jedną wielką rodzinę, w której przegrody stanu przekonania, wykształcenia, padają przed wspólnością losu i doli wygnaćcej. Uprzedzenia kastowe znikają, były minister nie gardzi towarzystwem rzemieślnika i szofera, reprezentant wielkiego kapitału zaprzysiężnia się z radykałem społecznym. W tem zbliżeniu, w tem zrównaniu strychulem losu obserwujemy jakby nowy wytrysk czystej, niesfałszowanej ludzkości: dobroci, prostoty, serdeczności. Upadło wszystko to co odrębnia ludzi od siebie: ambicja, pycha, karierowiczostwo, i oto natura ludzka powraca do wiecznych swych objawów: do prostej sympatii, do dzieł dobroci i miłości.

Na pierwszym planie zarysowuje się rodzina emigrantów węgierskich Barabaszów, których córka Anka jest centralną figurą powieści. Widzimy ją najpierw jako małą dziewczynkę wchodzącą ze zdumieniem w nowy i obcy dla niej świat, potem już dorastającą wśród pierwszych przeżyć miłosnych i pierwszych zderzeń ze światem tubylczym, osiadłym, odrębnym, bezlitościwym obcego. Ci emigranci nie mogą się zasymilować, rozpływają w środowisku paryskim. Zawsze zostaje coś nieokreślonego, jakaś nieprzekraczalna zaporą, jakaś obcość wyrażająca się w imponderabiliach, która wyrzuca ich za nawias osiadłego społeczeństwa. Nawet miłość, przełamująca wszystkie zapory, nie jest zdolna strawić tej nieprzekraczalnej granicy. Młody Barabasz, wychowany już we Francji i zupełnie nie symilowany, rezygnuje mimo gorącej miłości z małżeństwa z rodowitą Francuzką, czując instynktownie przepaść która go mimo wszystko od niej dzieli. Ta najgłośniejsza, najliberalniejsza rasa jest zarazem najekskluzywniejsza, najmniej tolerancyjna.

Sylwetki figur drugoplanowych są zarysowane naogół szablonowo, reprezentują pewne znane już schematy charakterologiczne. Nie jest to powieść pod względem psychologicznym odkrywcza i rewelacyjna. Jedyne perypetie sercowe Anki zawierają szczegóły nowe, świadczące o niezależności od recept obserwacji.

Powieść jest pobawiona pasji, dramatyzmu, napięcia, zdarzenia i perypetie przesłonięte są pewną monotonią i nieważnością, ale to właśnie nadaje książce specyficzną atmosferę. Autorka pokazuje, że pojęcia kraju rodzinnego, ojczyzny, nie są sztucznie rozdzielone frazesami, że oznaczają one element konieczny do życia, którego brak działa rozkładowo na psychikę ludzką. Nie analizuje ona tego zjawiska, demonstruje tylko jego dziwne skutki. Wszyscy ci ludzie, pozbawieni ojczyzny, chorują na nieokreśloną chorobę, którą daremnie usiłują rozpoznać i zlokalizować.

Tłumaczenie bardzo dobre.

Bruno Schulz.

Dialog o męstwie

Platona Laches. Przetłóżył, wstępem, objaśnieniami i ilustracjami opatrzył **Władysław Witwicki**. Warszawa, Sekcja Psychologiczna przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Wiedzy Wojskowej, 1937; str. 95 i 5nł.

Dialog porusza temat: co to jest męstwo, jaka jest jego istota. W dyskusji biorą udział właściwie trzy osoby: dwaj wodzowie, znani nam dobrze z dzieł Grecji, i Sokrates. Laches i Nikjasz, to ludzie, którzy — zdawałoby się — najbardziej powołani są do zabrania głosu w tej kwestii, niezależnie od rezultatów osiągniętych w wyprawach wojennych. Ale w toku rozmowy okaże się, że o męstwie i wychowaniu wojskowemu potrafili mówić rozsądnie tylko Sokrates, nie specjalista, nie zawodowiec, lecz mędrzec, korygujący trafnie zbyt obszerne lub zbyt wąskie definicje i pojęcia rozmówców. Padają bowiem różne określenia męstwa: mówi się o gotowości defensywnej w szeregu, zaciętości duszy, rozsądnej wytrwałości, wiedzy o tem co straszne i co budzi otuchę, aby wysłiwili się Sokratesowi punkt widzenia, że męstwo, to rozumna zaciętość duszy w walkach wszelkiego rodzaju. Męstwo cechuje jedynie ludzi rozumnych, zwierzęta zaś i ludzi nierozumnych — co najwyższej śmiałości, zuchwałości, odwagi. „O męstwie — pisze tłumacz w komentarzu — będzie dobrze mówić dopiero tam, gdzie pogarda dla niebezpieczeństwa ma wysokie tło etyczne. A więc np. poczucie obowiązku, chęć uratowania komsz zycia, albo zdrowia, dobro nauki — wogóle wtedy, gdy się człowiek kieruje poczuciem wartości wyższych, niż jego osobiste życie i osobista korzyść” (str. 94).

Jak zwykle, Sokrates występuje w roli pedagoga, pełnego wiary we wszechmoc nauki wychowania. Ponieważ męstwo nieodwrotnie związane jest z rozumem, można je zdobyć rozwijając umysł. Do tej roli powołany jest ten kto albo sam jest wynalazcą w zakresie pedagogiki, albo przynajmniej pojętym uczniem jakiegoś mistrza. Prymat rozumu stanowi podstawę wszelkich rozumowań Sokratesa, czy chodzi o dzielność, męstwo, czy o inną cnotę. Dlatego „Laches” ma ten sam rys intelektualistyczny, co inne dialogi platońskie. Nie jest ważne, żeśmy odiegli od tej wiary bezwzględnej i przekonań się, że nauczyciel ma tylko ograniczony wpływ na rozwój ucznia. Ważna jest własność etyczna, z jaką Sokrates traktuje wszystkie problemy życiowe.

Sposób tłumaczenia dialogu przez Witwickiego po dawnemu nacechowany jest równocześnie dokładnością i swobodą językową najbardziej trafiającą w styl oryginału. Dyskusje Sokratesa utrzymywane były w tonie potocznej rozmowy; polszczyzna Witwickiego znakomicie wprowadza w atmosferę dialogów platońskich.

Dziś ułożony w pomnikowym tłumaczeniu prof. Witwickiego, pomimo drugiej już zmiany wydawcy dzieł Platona, ukazał się w tej samej pięknej szacie zewnętrznej co i poprzednie.

Stanisław Lenkowski.



PORADNIK CZYTELNIAY

Przewodnik literacki i naukowy 1933 — 1935. Kontynuacja „Książki w bibliotece”. Praca zbiorowa pod redakcją **Wandy Dąbrowskiej**. Warszawa, Poradnia Biblioteczna Warszawskiego Koła Związku Bibliotekarzy Polskich, 1937; str. XV i 1nł. i 503 i 1nł.

Jest to ułożona systematycznie bibliografia rozumowana odpowiednio dobranej produkcji wydawniczej z lat 1933 — 1935. Okazały tom, będący ciągłym dalszym publikacją z r. 1934 p. t. „Książka w bibliotece”, wydany z końcem maja b. r. Materiał mógłby już być doprowadzony do końca ubiegłego roku wydawniczego, przez co zyskałby na aktualności ten przewodnik, przeznaczony przede wszystkim dla kierowników bibliotek publicznych i działaczy oświatowych, ale pożyteczny także dla szerokiego ogółu czytelników. W informacjach, podanych przy każdej książce, zawarto także krótką rzeczową charakterystykę treści. Przy niektórych książkach zdarza się nawet zwięzła ocena krytyczna, której w wydawnictwie tego typu lepiej byłoby unikać, albo stosować ją systematycznie i na podstawie jej gruntowniejszego, niż w tomie obecnym, skontrolowania. Dotyczy to także wyróżnienia książek za pomocą gwiazdek, którymi np. hojnie szafowano w dziale krytyki literackiej. Ale nawet w tym samym dziale nie obszedło się bez rażących dysproporcji (np. uwaga o „języku zawiłym” przy jednym autorze, choć oszczędzono jej innemu). Stopień przystępności książek oznaczono cyframi rzymskimi I — III. Starannie opracowane skorowidze ułatwiają korzystanie z tego pożytecznego przewodnika. Na odrębną uwagę zasługuje rzeczowy skorowidz do beletrystyki według jej tematów i zagadnień.

Kazimierz Czachowski.

Opalać się bez obawy



Eukutol

Krem biologiczny

można tylko po natarciu się kremem Eukutol[®], który przenikając w głębsze warstwy skóry, zapewnia zupełną ochronę przed bolesnymi oparzeniami słonecznymi.

Olejek słoneczny Eukutol[®] powoduje piękne, równomierne, sportowe opalanie.



KRONIKA TYGODNIOWA*)

Niemą poezji w krajach totalnych. Spotykamy się często ze zdaniem, że wielkie masy niemieckie czy włoskie wstrząsnęte zostały i rozplomienione entuzjazmem zbiorowym. Ale ten żar nie przeniknął do literatury. Hitlerizm nie ma swego barda. Żaden wielki pisarz nie stoi po stronie faszystów. Nie znalazł się poeta w Niemczech, któryby się odważył opiewać walki Goebbelsa z Żydami lub katolikami, a jeśli nawet takie utwory poetyckie w Niemczech powstały, historia literatury przedko o nich zapomni. Można fałszować statystyki, można tworzyć sztucznie pozory entuzjazmu, ale nie można fałszować poezji. Ani hitlerizm, ani faszysty nie mają swych piewców, choć mnoży na to odpowiedzieć, że niema również we Francji poezji opiewającej działalność Bluma. Mogłaby przecież istnieć w Niemczech poezja liryczna, bo przecież winnice i brzozy Renu nie straciły na urodzaje i są wciąż tak samo piękne, bez względu na to, że „Lorelei” Heinego drukuje się teraz w Niemczech jako utwór autora nieznane. Wieczór letni tak samo złoci wierzby Heideberga, i ręce młodych Niemców, w krótkich przerwach między jednym a drugim podzwonieniem hitlerowskim, spletały się tak samo jak dawniej z rękami dziewcząt, o ile oczywiście, dziewczęta te są czyste rasowo do trzeciego pokolenia włącznie. Tak samo jest piękna jak i dawniej Kampania włoska, mimo i naprężeń Marinettianu, który uważa, że najpiękniejszą rzeczą na świecie jest brzuch, oczywiście cudzy, „szardy granat”. Cóż się więc stało? W krajach totalnych wytworzyła się apatia, wyczerpanie emocjonalne, zniechęcenie do poezji. Być może, właśnie dlatego, że słowo, które jest istotą poezji, zostało nadużyte, splugawione, zszargane. W potężnych ryłkach gigantofonów, w natrętnej, bezustannej agitacji, demagogii i propagandzie niema miejsca na ciche i wnikliwy głos prawdziwego wzruszenia. Dzikie plemiona zamieszkujące Europę rozporządzają dzisiaj nie tylko wspaniałymi maszynami do mordowania ludzi, mają również coraz precyzyjniejsze sposoby zabijania myśli i niezależności człowieka. Jakże może kwitnąć sztuka i literatura a zwłaszcza poezja i dowcip, te dwa pełne orku kwiaty naszej cywilizacji, gdy niema wolności: gdy niema opinii publicznej, niema niezależnej prasy? Prasa państw totalnych przypomina senat rzymski, który po każdej zbrodni Nerona czy Kaliguli stawał nową świątynią na cześć truciciela.

Mówiąc o państwach totalnych, wy-
*) Przemówienie wygłoszone w czasie zjazdu P. E. N. Clubów w Paryżu w czerwcu b. r.

mieniłem również Rosję sowiecką. Jest to sprawa wymagająca osobnego omówienia. Jeśli chodzi o znajomości poezji współczesnej, my w Polsce jesteśmy w wyjątkowo szczęśliwym położeniu. Wielu jest wśród nas, którzy znają dorobek współczesnej poezji europejskiej i jednocześnie śledzą pilnie poezję rosyjską, bez której znajomości trudno zdać sobie sprawę z całości poezji współczesnej. Trzeba znać język rosyjski aby mówić o poezji Majakowskiego, Jesienina czy żyjącego jeszcze Pasternaka. Nie można sądzić o poezji na podstawie przekładów; wiedza o tem dobrze poeci. O poezji sowieckiej mówi się wiele w Europie, ale niewielu jest poetów, którzy na tyle znają język rosyjski aby sądzić mogli o rozwoju czy upadku poezji rosyjskiej. Ci co znają język rosyjski zgodzą się ze mną, że poezja w Sowietach nie w lepszej znajduje się sytuacji niż poezja w Niemczech czy we Włoszech. Poezja sowiecka umarła wraz z samobójstwem Majakowskiego i Jesienina. Umarła pod terrorem stalinizmu. Nie należy bowiem mieszać osiągnięć poezji rewolucyjnej z poezją oficjalną obecnego rządu. Rewolucji rosyjskiej towarzyszył szum skrzydeł wielkiej poezji. Czemu muzy nie były tak łaskawe dla przewrotu faszystowskiego lub hitlerowskiego? Tak było i tak być musiało, bo rewolucja rosyjska bliższa była w swych początkach prawdziwej trosce o człowieka. Socjalizm przez długie lata był potężnym prądem emocjonalnym, wspomaganym przez przyrodzony człowiekowi głód sprawiedliwości. Dziś wielki ten strumień uczuć wyschł, i poezja sowiecka umiera w smutnej, jałowej ziemi obicanej biurokratyzmu, strachu, terroru, donosicielstwa i lokajstwa. Niema poezji w krajach totalnych. Poezja nie jest dziewczką. Nie zadaje się byle kim.

Ale najsurowsza kontrola, najcięższy terror nie zabije poezji. Wyrwana z Niemiec, poezja rozkwiła na emigracji. Wystarczy porównać list Thomasa Manna do dziekana uniwersytetu w Bonn z utworami urzędowych piewów hitlerizmu, aby stwierdzić po czyjej stronie pozostała szlachetność, wzniosłość i natchnienie. Adam Mickiewicz również na emigracji walczył słowem natchnionem o wolność naszej ojczyzny. W oczach realnie myślących polityków wolność i niepodległość Polski była wtedy tylko marzeniem poetyckim, była złuda. Żyjemy w czasach ciężkich i smutnych. W epoce rozgrzeszonej nienawiści klasowej i rasowej. Idea wszechludzkiego braterstwa wydaje się dziś realnie myślącym politykom mrzonką i złudą poetycką. Ale nasza sprawa, sprawa poetów, jest właśnie wybieganie w przyszłość, walka o te dalekie złoty i marzenia.

Antoni Słonimski.

D-RA LUSTRA
DORADO
PRZECIW DZIAŁA POCENIU SIĘ

POLSKA ZAGRANICĄ

— Wydany niedawno 182 zeszyt znanej czeskiej encyklopedii „Ottův slovník naučný” przynosi polskie hasła. O języku polskim pisze tu prof. Weingart, o literaturze — Vydra, o muzyce — prof. Czernuszka, o sztukach plastycznych — Kovárna, o życiu naukowym — p. Szauková.

— Praska „Litteratur Historická Společnost Československá” wydała pod redakcją prof. Arne Nováka księgę zbiorową ku czci Máchy. Stosunek Máchy do Polski charakteryzuje tu w osobnym studium J. Máchal, Mácha a Garczyński jest tematem artykułu J. Menszika.

— „Prager Presse” z dn. 5 czerwca b. r. przynosi obszerny artykuł jubileuszowy „Polskie Towarzystwo Historyczne” pióra jednego z najwybitniejszych historyków czeskich, prof. Jaroslava Bidla. — Ostatni zeszyt londyńskiego kwartalnika „Slavonic and East European Review” przynosi studium prof. W. J. Ro-

se'a o Lelewelu jako historyku oraz Otto-
na Forst-Battagii szkic o powieści polskiej w r. 1935.

— W Lund zmarł profesor slawistyki Sigurd Agrell. Agrell zajmował się specjalnie zagadnieniem aspektu polskich czasowników. Ogłosił m. in. po polsku dużą książkę „Przyrostki postaciowe czasowników polskich”.

— Prof. Tadeusz Lehr-Spławiński wygłosił w Bukareszcie dn. 23 maja b. r. odczyt na temat prasłowiańskich podziałów szczebowych w świetle języka.

— Prof. Roman Dyboski wygłosił w Londynie w maju i czerwcu b. r. trzy odczyty na temat polskich zagadnień gospodarczych, społecznych i wychowawczych.

— Prof. Wacław Lednicki wygłosił w Pradze w dn. 9 czerwca b. r. odczyt o Puszkynie i Mickiewiczu.

— Praski teatr „Akropolis” wystawił „Moralność pani Dulskiej”.

— Kazimiera Hłakowiczówna wygłosiła w Timisoara w Rumunii odczyt o marszałku Piłsudskim.

— Paryska „L'Association des Jeunes Musiciens Polonais” zorganizowała w „Ecole Normale de Musique” koncert muzyki polskiej, na którym utwory Szaryńskiego, Mielczewskiego, Fitelberga, Szalowskiego, Szymanowskiego i Paderewskiego oraz z Francuzów Ravela odegrali Henryk Kaston, Wacław Niemczyk, Aleksander Kagan, Zofia Kopciowska i Józef Mikulski.

— W Porto odbyła się wystawa 108 prac polskich grafików.

— W Genewie zorganizowano wystawę warszawskiego „Błoku”. Wystawa trwała przez kwiecień i maj b. r. W ciągu tego czasu zwiedziło ją 9 242 osób.

— Marja Szczyt-Lednicka wyrzeźbiła dla sławnej nowojorskiej „Juillard School of Music” popiersie Pawła Kochańskiego.

Żarty a rzeczywistość*)

NIE UDAWAJ GREKA!

Dla odmiany i rozrywki Bolesław Miński kontynuuje rozpoczętą dyskusję ze staropolską co ukraińską. Wprawdzie ukraińska jego mowa przypomina nie tyle kuzyna Wyhowskiego co wujaszka Sienkiewicza, ale dobre i to jak na kogoś, komu „ojcowską substancję” dziedziczą „gras”. Niestety, nie odpowiem mu w ten sam sposób; obawiam się, że taka korespondencja przedłużałaby się w nieskończoność. Licho wie, jakby to wyglądało. Wspomina przecież Miński o tem, że jest Grekiem, gotów więc następny list napisać po grecku, i do tego, broń Boże, heksametrem. A zatem lepiej skapitulować i pisać zwyczajnie bez żadnych wtrętów makaronicznych.

Miński jest adresatem nieuważnym i zbyt zachłannym. List, wrzucony do jego skrzynki i na jego ręce zaadresowany, choć w znacznej części w kogo innego wymierzony, zapisuje bez reszty na własne conto. A szkoda! Dłoby się uniknąć wielu nieporozumień i spychania dyskusji z głównego gościńca. Wobec tego spróbuję jeszcze raz. Ale już bez żartów, wyznań i udawania Greka. Ścisłe według tematu.

RZECZYWISTOŚĆ I ŻARTY

Przerzucam „Demonom nocy”. Pierwsze dwa poematy. Istotnie, tematyka rosyjsko-kozacka. Don, step, walka, pijane pieśni marynarskie, Rosja zmyta krwią. Krasnystaw na Kaukazie, dwunasty dziesięć niby dwunastu apostołów, a na ich czele „spełnił straszliwy”. Scytyjski mesjanizm czy jak tam! Ale to dopiero pierwszy cykl tomu, jedna czwarta całości. Wymieniam następne. „Duma o żołnierzu” — poemat o polskich ruchach wywolenych: rok 1831, przemyt białych socjalistycznej, towarzyszy Markowski z Lublina, wojna światowa, bajorczycy, Murman. W tekście apostoły, nawiązujące do „Grogu Agamemnona”, wyraźne podkreślenie łączności z „Snem o szpadzie” Żeromskiego. A Miński nie, jeno wciąż słyszy ćwierkanie „ptaszki kanariejki”. „Na śmierć powieszonych Ukraińców”, to znów nawiązanie do Stowickiego i Żeromskiego, a geneza tego cyklu tyle ma wspólnego z Rosją co tragedia Biłasa i Danyliyszyna z tuskim samowarem. W „Złotej legendzie” mówi się o wszystkim, prócz Rosji. Jest i Maraton (Grecja!) i Grecja! — cieszyć się, wielbiciele Homer! i bogowie egipscy, i norweska wyprawa polarna, i boks, i pochod mastedontów przez puszcze. Nie znajduje też najpiękniejszy szperacz owcy rosyjszczyzny ani w „Nikie samotraczki”, ani na „Cmentarzu lubelskim”, ani w żadnym innym wierszu tego tomu. Uogólnianie — rzecz efektywna, nie należy jednak stosować go na codzień upraszczać sobie recenzenckiego zadania. Nie będę protestował, gdy Miński odsądzi od czci i wiary moje książki, ale niechże to zrobi solidnie, niech nie imputuje Alajnowi Gerbault tatarskiego nosa, a marmurowej dziewczki samotraczki nie stroi w sarafan rzańskiejszy Duniaszy. Pisali na temat rosyjszczyzny w moich wierszach również tacy krytycy, jak Terlecki czy Ortwin. Ale ci uzasadnili swoją opinię, nie ufaliłi sobie zadania na tyle, żeby dziesięć wierszy mierzyć łokciem jednastego.

To przecież były tylko „szutki, pribatuki”, napisane w przystępie dobrego humoru — sumituję się na zakończenie Miński. No, proszę! — żyjemy w czasach niezwykle dla poezji przychylnych. Dziesiątki czasopism literackich, wrażliwa i inteligentna krytyka, wydawcy chętni i hojni, dlażęgożby przy okazji nie dać sobie folgi i nie pożartować z tych „słówek, tuczonych nagrodami”? A niechby mi Mińskiś po przyjacielsku wytłumaczył, dlażęgoż redakcja rodnego pisma nie uwzględniła jego intencji i potraktowała ten recenzencki żarcik tak poważnie, że aż na tej podstawie odmawia mojej pracy poetyckiej wszelkiej wartości kulturalnej?!

ROZDWOJENIE JAŃNI

I oto zbliżamy się coraz bardziej do sedna rzeczy. Nie odpowiadałem w „Wiadomościach” na żart Mińskiego, dopóki w nr. 25 „Prosto z Mostu” nie

*) patrz Józefa Łobodowskiego „Tropicielom polskości” w nr. 711 „Wiadomości Literackich” i Bolesława Mińskiego „Żarty i wyznania” w nr. 28 „Prosto z Mostu”.

PUDEL GAGA

Fakt że Mińskiś pochodzi z Ukrainy, ani mnie wzruszył, ani w moje argumenty ugodził. Wiedziałem zresztą o tem bardzo dobrze. Można przecież urodzić się koło Jampola, a w stosunku do spraw ukraińskich zachować umysłowość mieszczucha z Ryplina czy Złotej. Nie wiem jak tam jest pod tym względem u Mińskiego, wiem za to jak na całą sprawę zapatrują się Dmowski, Stroński, Giertych, Wasutyński i idące za nimi gromady. A jeśli z Mińskiego istotnie taki „szczyryj Ukrainiec”, to mógłby mego wiersza o powieszonych Ukraińcach w kacapkach łapcie nie stroić. Pudel Gaga, który zdechł z tęsknoty za intronizacją do rodzinnego pałacu, też urodził się w Ukrainie.

ŻYDOWSKIE WYNAZAKI

Niepotrzebnie Mińskiś sądzi, że krytykę moich wierszy wytłumaczyłem sobie „modo psychoanalitico”. W kontusz też go nie stroilem. A jeśli na endecję wjechał, to z tej prostej przyczyny, że recenzja jego (czy też żart, jak wolał) umieszczona została właśnie w „Prosto z Mostu” i z niej zaczerpnięto argument, użyty następnie w polemice z „Kulturą”. Chodzi o to, że według mego, mylnego, być może, zdania, „Prosto z Mostu” stosuje wobec zjawisk kulturalnych chwytły symplekcie, a recenzja Mińskiego stała się punktem wyjścia dla jeszcze jednego uproszczenia. I niech się nasz skromny „Kulturmensch” nie wykręca, że go sprawa

wy społeczne niewiele obchodzi. Obchodzą, nie obchodzą, a pośredni związek jest. Nie ulega wątpliwości, że „Prosto z Mostu” stosuje polityczny, a nawet, o zgrozo, klasowy (chłopy idą!) punkt widzenia przy ocenie pisarzy. Wystarczy, aby początkujący beletrysta nazywał się Koseła albo Nedza i pisał do „Prosto z Mostu”, a już staje się znakomitością. Wystarczy być robotnikiem z „narodowej Łodzi”, żeby kiepskie, choć z temperamentem pisane, wiersze otoczono dymem kadzidel. Polskie dwadzieścia lat Piętkiewicz, to jeszcze jeden powód ad maiorem „Prowincjae” gloriom, żydowskie dwadzieścia lat Hertz budzi wzruszenie ramionami. Nie entuzjazmuje się Hertzem, który mnie ani łączy, ani grzeje, i którego wbrew warszawskiej opinii nie uważam za geniusza, ale teoria względności — to też żydowski wynalazek, i lepiej zostawić ją w spokoju.

ZNALAZŁA SIĘ I PRYWATKA!

Oświadcza Miński, że w „Prosto z Mostu” znalazł „ręcz bezcenną — wolność”. Bardzo to ładne i przyjemne. Ja sam nie zniósłbym krepowania mnie w czemkolwiek przez redakcję i umiem to cenić. A jeśli tak jest naprawdę, mam skromną osobistą prośbę. Taka mała prywatka. Niech Mińskiś napisze obszerną a uczciwą recenzję z utworów tych poetów, których tak zdecydowanie lansuje „Prosto z Mostu” — Dobrzyńskiego, Piętkiewicza, jeszcze paru. Niech ich solidnie recenzje. Znam na tyle poetyckie upodobania Mińskiego, że orientuję się, co sądzi np. o rozwickłych, rozmamianych, rozmokłych, niekontrolowanych, wyszukanych stylistycznie, „podlanych” „czu” „czu” „zjeżdżałam sosem” sentymentalizmu, manierycznych poematach Piętkiewicza. Więc śmiało! Prosto z mostu! Cóżby malczyska nie zaznał! A tak — wiersze Zdzisława Łardellego. Wsiwie to one są, a wiadomo, chłopcy idą, ale zato z poziomem artystycznym coś nie bardzo. I nie pasuje Mińskiśmu sąsiadować z taką poezją, gdzie autor, żalując gospodarza, któremu się zmarło, dodaje filozoficznie: „to się zdarza, to się zdarza”. Żeby śmierć się zdarza? — wiadomo, ale pogo zaraz poemat!

Tu mi się nasuwa smutna uwaga, spowodowana melancholijnym stwierdzeniem Mińskiego, że gdy pisał o Homerze, Alerdzer, Schelerze i Kartezjuszu, „to pies z kulawą nogą nie przeczytał”. Właśnie! — powiem nawet Mińskiśmu, dlażęgoż. Jedni czytali powieści Migowej, a drudzy, młodzież narodowa i radykalna, uchwaliła, że „do Boga dochodzi się, służąc ojczyźnie”. A Kartezjusz powiada inaczej. Wieg po jaką cholere?

„Prosto z Mostu” z wysokości swoich nacjonalistycznych pozycji nie od dziś i nie na mnie pierwszego. Jeśli więc wstąpiłem tam, pozornie, być może, bardzo osobistą, polemikę, to jedynie w przekonaniu, że upominam się nie tylko o swoją krzywdę. Nie widzę bowiem żadnego mandatu, który uprawniałby „Prosto z Mostu” do stawiania pisarzy na cenzurowanym i wydawania wyroków. Przewinęło się w tem piśmie sporo poważnych i ciekawych wystąpień — i to są jego atakowa. Chęć panowie tworzyć wielką narodową kulturę i sztukę? Bardzo ładnie. Dobremi chęciami dawno już piekło wybrukowano. A jak z realizacją? Narazie trochę chłopomaiństwa i „czerwono-białej” poezjki. A ci co wprowadzają szerszy oddech i wyższy poziom, właśnie Mińskiś, Andrzejewski, Gałczyński — to wszystko raczej „popuczyki”, niejednokrotnie jaskrawo odcinający się od właściwego ła.

Tak więc proskrypcje i eksterminacje „Prosto z Mostu” nie znajdują przeważnie pokrycia w rzeczywistości, podobnie jak bez pokrycia działa najczęściej nasz polski nacjonalizm. Nie miejsce tu na argumenty, podmurówujące ten zarzut. Może kiedyindziej. Narazie powiem tyle, że nie każdy kto woła: „Boże! Boże!” — wejdzie do Królestwa Niebieskiego. „Nie wystarczy wołać „Naród, Polska!” — trzeba przedewszystkiem swój nacjonalizm ugodzić z historyczną polską racją stanu i kulturalną przeszłością narodu.

W tem miejscu słyszę, jak Mińskiś stawia mi zarzut, że rozszerzam niepotrzebnie dyskusję, i wielkim brzękiem słów staram się osłonić przed uderzeniem skierowanymi wyłącznie pod adresem moich wierszy. Ale racji nie ma. Rzeczy drobne wynikają z wielkich — i odwrotnie. A to co w „Prosto z Mostu” czytuję na temat poezji „czerwonej”, „Kamieny”, „subsydowanego „Pionu” i t. d., składa się na całość na tyle zajmującą, że chętnie jeszcze podyskutował, byle z wyłączeniem przyczyn, które niniejszą polemikę spowodowały.

Józef Łobodowski.

Teatr Ateneum: „Zazdrość i medycyna” sztuka w 7 obrazach Michała Choromańskiego; dramatyzacja Maksymiliana Szackiego, reżyseria Leona Schillera, dekoracje Stanisława Cegielskiego.

Można było przewidzieć niebezpieczeństwa grożące scenicznej przeróbce „Zazdrości i medycyny”. Siłą powieści i tajemnicą jej poronującego sukcesu jest sugestywność atmosfery, wielki kunszt w przeniesieniu codziennych wydarzeń w sferę wizyjności, wydarce jej z granic logiki i wtopienie w świat snu, czy raczej kosmaru: Czytelnik, otrzeźwiający po seansie metapsychicznym, jakim jest czytanie tej książki, niejednokrotnie buntował się przeciw błahości fabuły i prymitywności psychologii. Wychyliwszy się z mroku, w którym spowił go autor, nie chciał uznać że zanurzył się w jakiejś głębi, raczej miał uczucie że przez chwilę zaszadzał. Ale akt czarów już się odbył, i — z buntem intelektualnym lub bez — nie było człowieka któryby im się nie poddał.

Trudno powiedzieć, czy teatr mógł tę atmosferę seansu wydobyc. Być może, — ale w każdym razie nie idąc po drodze interpretacji realistycznej. Zdumiewa mnie, że tak wytrawny reżyser jak Schiller, lubujący się w dodatkach w mroczkach, nastroszach, niesamowitościach, poszedł w inscenizacji tej właśnie sztuki po drodze najbardziej płaskiego realizmu. Jeżeli sam fakt przeróbki z powieści na sztukę zaszkodził jej niewątpliwie, wydobywając to co w niej jest nieistotne, czyli fabułę i charakter, reżyseria podkreśliła jeszcze ten mylny sposób potraktowania utworu. Nie przypadam bynajmniej za utworami ekspresjonistycznymi, ale w danym wypadku tylko w tym stylu dałoby się wystawić „Zazdrość i medycynę”, zastępując sugestywnością słowa brutalniejszą zresztą sugestywnością tricków teatralnych; światłem, cieniem, pauzami, stylem gry. Mozeby wtedy jakiś nastrój spłynął ze sceny. Zaniechano tych dość tamich — przynajmniej — sposobików, ale bez nich sztuka utraciła wszystko co fascynuje w powieści. Błaha i banalna historia zazdrości pewnego apoplektycznego pana o wampicznej żonie i żądnego chirurgą, przykre realia ginekologiczne, kulminacyjna scena operacji zaraz na początku (odebrano jej zresztą całą tajemniczość), skłębony naprędek zespołu, brak wszelkiego aparatu scenicznego, bylejakie reżyseria, wydały w sumie „widowisko trochę żałosne, trochę zawstydzające.

„Papa”, komedia w 3 aktach G. A. de Caillaveta i R. de Fleras; reżyseria niewiadomo czyja, dekoracje Stanisława Sliwskiego.

„Papa” był ongi rewelacja talentu Osierwy i kto wie czy nie początek mody na starszych panów. Kobiety wychodziły upojone z tej komedii, marząc o siwiejącym znawcy kobieci, znawcy ich serc i ich sukien, o mężczyźnie „wyżytym” ale jeszcze świeżym, który do wigo drugiej młodości umiałby dołączyć kunszt miłosny, atmosferę adoracji i uwielbienia, tak potrzebnych kobiecie dla rozkwitu serca i zmysłów. Ale dziś patrzymy na tę sztukę nieco innemi oczami. Nie dlatego żebyśmy nie uznawali pełnych praw „papy” do miłości i żeby choć przez chwilę przyszło nam na myśl uważać go za starca wycofanego z obiegu. Granica starości przesunęła się o wiele wiele lat naprzód. Ale sama figura „papy” jest dość antypatyczna i na szczęście tracąca miśską. Dziś starszy pan, podbijający kobiece serca, to nie tylko człowiek, pomimo lat, młody fizjologicznie, ale w pełni aktywności, zainteresowań, energii. Ten zaś hrabia de Larsac, to nudny i przebrzmiały już typ „bon vivanta”, karciarza, hulaki i utracjusza, najjałowszy egzemplarz ludzki, żyjący jedynie kobietami ale jakimi? — kokietami czy geśmami „z towarzysza”, najantypatyczniejszy gatunek „dziwkarza”. W przeciwieństwie do niego, syn zyskuje naszą sympatię nie swoją młodością, ale racjonalniejszym stosunkiem do życia, zamierzaniem do pracy, pogardą dla konwenansów, słowem, ludzkimi cechami, w przeciwieństwie do tego symbolu pieniędzy, uprzywilejowanej sytuacji towarzyskiej i przesteru płci, jakim jest jego ojciec. Zrównani pod względem wieku, są sobie nierówni pod względem wartości i dlatego dziś wolalibyśmy (my kobiety) młodszego prostaka, niż trochę śmieszego pana, popisującego się „wyrafinowaniem” z epoki Bourgeta.

„Ale zezastawisz się częściowo i nosząc wyraźne znamie owej syty, obojętnej i kontentej z siebie epoki, w jakiej powstała, komedia odznacza się niezniszczalnym urokiem, rozumem, dowcipem, niekazitelną konstrukcją, przyjemną wypukłością każdej postaci, kulturą i inteligencją, której ani nabyć ani nauczyć się nie można. Junosza grał „pape” wybornie, ale powinien wyglądać nieco młodziej, przydałoby się trochę charakterystyki. Przyjemną niespodziankę zrobił Pichelski, odtworzywszy bez zarzutu i z wdziękiem syna. Zławsza przedzierzgnięcie się z urodzajnego chłopca z pierwszego aktu w niezgrabiasza z drugiego świadczy o dużej umiejętności aktorskiej. Kobięce role wypadły słabiej.

Irena Krzywicka.

Redakcja „Wiadomości Literackich” raz jeszcze prosi wszystkich Czytelników o wzięcie udziału w głosowaniu „Wybory uzupełniające do Polskiej Akademii Literatury” (warunki głosowania i pocztówka na odpowiadz dołączone do poprzedniego numeru).

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU GEOGRAFICZNEGO

I nagroda: Franciszka i Stefan Themersonowie w Warszawie (Czeczota 16)

II nagroda: Aniela Tarnowicz w Warszawie (6-go Sierpnia 18)

III nagroda: dr. Stefan Miller w Pruszkowie (Szpital Tworki)

IV nagroda: dr. Edward Rawicz, sędzia grodzki w Żółkwi (Piłsudskiego 11a)

V nagroda: Feliks Daszyński w Warszawie (pl. Trzech Krzyży 14 m. 18)

VI nagroda: Alicja Anigsteinówna w Warszawie (6-go Sierpnia 22)

VII nagroda: Wacława Borkowska w Gdyni, Urząd Morski, budynek nr. 2

VIII nagroda: Józef Handelsman w Warszawie (Łowicka 52)

IX nagroda: Józef Maśliński w Wilnie, „Kurjer Wileński“

CO PRZEDSTAWIAJĄ RYSUNKI

Na konkurs p. t. „Wesoła podróż p. Grypsa naokoło świata” ogłoszony w nr. 713 „Wiadomości Literackich”, nadesłano rekordową ilość 2 684 odpowiedzi, z czego nie rozpatrywano 28, które wysłano po terminie, oraz jednej, do której nie załączono kuponu. Wszystkie sprostowania oraz osobno przysyłane kupony nadeszły w terminie i zostały uwzględnione. Do ostatecznego rozpatrzenia zakwalifikowano tedy 2 655 rozwiązań.

Przyznawanie nagród było bardzo utrudnione. Zgodnie z warunkami konkursu rozwiązanie polegało „na możliwie dokładnym określeniu miejsc pobytu p. Grypsa”, przedstawionych na ilustracjach. Warunek ten sprawiał, że nawet odpowiedź bezbłędna nie mogła ubiegać się o nagrodę, o ile istniały inne odpowiedzi bezbłędne, które określały dokładniej miejsce pobytu bohatera podróży. Podstawowym warunkiem ścisłości odpowiedzi było spostrzeżenie, że podróż p. Grypsa odbywała się według pewnej logiki podróźniczej, co pozwalało dokładnie określić niektóre ilustracje nie zawierające same w sobie szczegółów specjalnie charakterystycznych. Około 10% odpowiedzi opisało podróż p. Grypsa bezbłędnie, jednakże znikoma tylko część odpowiedzi zadośćuczyniła wymaganiom przez warunki konkursu możliwej dokładności przy wszystkich obrazkach. Tak np. prawie wszyscy obrazek nr. 4 umiejscowili w Grecji, mniejsza część uczestników — w Atenach, jeszcze mniejsza — na Akropolu, a bardzo niewielu podało Partenon. Często nieścisłości w określeniu jednej z ilustracji obniżała wartość odpowiedzi, pozatem bardzo dokładnej. Nie było obrazka któregośby choć jeden z uczestników nie określił z maksymalną dokładnością, jednakże nie było odpowiedzi, nawet wśród nagrodzonych, któryby w ten sposób określała wszystkie obrazki bez wyjątku.

Liczne z pośród nadesłanych odpowiedzi odznaczały się piękną formą graficzną czy literacką (np. prace pp. Emila Umanieckiego, dr. Wacława Rubinsztajna i Karoliny Ozerkowskiej) lub też doskonałymi pomysłami humorystycznymi, jednakże zgodnie z warunkami konkursu, przy ocenianiu odpowiedzi brano pod uwagę jedynie ich możliwą dokładność. Zbieg okoliczności sprawił, że nagrodzona odpowiedź pp. Themersonów jest wykonana graficznie.

Wydawnictwo „Wiadomości Literackich” postanowiło wobec ogromnej ilości odpowiedzi podwyższyć ilość nagród do 50, dodając wycieczkę „Kosciuszka” do Kopenhagi (nagrada VIII) oraz 29 książek podróźniczych.

W sprawie realizacji nagród I — IX należy porozumieć się z wydawnictwem „Wiadomości”.

Nagrody książkowe można odbierać począwszy od dn. 21 lipca b. r. w administracji „Wiadomości”. Zamiejscowym nagrody będą w tym samym czasie odebrane.

Wobec dużego napływu odpowiedzi, w ostatnim dniu konkursu administracja „Wiadomości Literackich” przy ul. Królewskiej 13 w Warszawie (patrz rys. 23) do godz. 24 przyjmowała nadsyłane rozwiązania.

Redakcja „Wiadomości Literackich” i autor konkursu dziękują czytelnikom za liczne wyrazy sympatii i uznania wyrażone w odpowiedziach.

*

Nie mogąc spowodować braku miejsca drukować wszystkich odpowiedzi, wyróżniających się dowcipem lub formą literacką, omawiając poniżej poszczególne obrazki, podajemy fragmenty niektórych odpowiedzi. W nawiasach nazwiska autorów.

Rys. 1

Już pierwszy obrazek sprawił trudność wielu czytelnikom. Z dalszego szlaku podróży (Konstantynopol, Dardanele, Ateny) wynika, że p. Gryps w pierwszym swym etapie odbywa podróż po t. zw. linii palestyńskiej. Jest tedy rzeczą jasną, że nie mógł wyruszyć z Gdyni, lecz z rumuńskiego portu Konstancja nad morzem Czarnym. Zresztą statek „Polonia” odbywa swe podróże właśnie z Konstancji a nie z Gdyni, do której nigdy nie przybywa.

Rys. 2

Dobrze: Konstantynopol. Lepiej: meczet w Konstantynopolu. Jeszcze lepiej: meczet Hagia-Sofia w Konstantynopolu. Najlepiej tak jak odpowiedzieli pp. Themersonowie i p. Tarnowicz. Uwzględniano równorzędnie nazwy Hagia-Sofia, Aja Sofia, kościół św. Zofii i t. p.

Rys. 3

„Taką widziałam kieć oczami dziecka, Rozwieszałaś lekcje geografii, O Dardanele, cieśninę turecką, To jest najlepsza z twoich fotografii”. (Marja Skibniewska).

Panie J. K., a pan się upiera, że to cieśnina Magellana!

Rys. 4

Czwarta kolumna zachodniej ściany Partenonu na Akropolu w Atenach.

Rys. 5

2 654 odpowiedzi prawidłowych: Jerolim, Gryps pod „Ścianą Płacz”. 1 odpowiedź błędna: Moskwa, „pod stienku”.

Rys. 6

Obrazek przedstawia p. Grypsa nad brzegiem Nilu w górnym lub środkowym jego biegu, a więc tam gdzie dotychczas zachowywały się krokodyle. Jednakże krokodyl na rysunku jest traktowany raczej symbolicznie, i dlatego odpowiedź „Nad Nilem” uważana była za dostateczną. Powtarzany często w odpowiedziach wierszyk „Siedzi sobie ponad Nilem ptaszek zwany krokodylem” przypisywali czytelnicy Polowi, Syrokomli, Fredrze lub Rodociowi. We własnych utworach czytelnicy rymują jednak zawsze „Nil” i „krokodyl”.

Rys. 7

„Ostrzegam: nie każda rzeka jest Wisłą, nie każda zaś pustynia Saharą” (dr. Adolf Lindenbaum).

Uwaga ta jest całkowicie słuszna, z logiki podróży bowiem wynika, że p. Gryps, jadąc znad Nilu w Egipcie (rys. 6) do Abisynji (rys. 8) w drodze na Madagaskar (rys. 9), nie potrzebował zbacać na Saharę i dlatego jechał przez pustynię Libijską i Nubijską. Przyjmując nawet, że stanowią one część Sahary (według niektórych encyklopedyj), uznano rozwiązanie, podające pustynię Libijską lub Nubijską, za bardziej ścisłe i logiczne od ogólnikowego „Sahara”. Natomiast zupełnie błędna jest odpowiedź „pustynia arabska”, gdyż nazwa ta określa się zwykle pustynię na półwyspie Arabskim, a więc po drugiej stronie morza Czerwonego. Odpowiedzi, umieszczające p. Grypsa w ogrodzie zoologicznym w Warszawie, zostały oczywiście dyskwalifikowane, gdyż widok Wisły jest fypa morganą, a raczej halucynacją p. Grypsa.

Rys. 8

W drodze na Madagaskar był p. Gryps naturalnie w Abisynji, a nie w Trypolitanii lub na osuszonych bagnach pontyjskich.

Pani Hanna Ożogowska pisze: „Gdyby nie Mussolini — dzicy Abisyńczycy nie mieliby nawet pojęcia, co to jest czołg. Toteż myślę że przez wdzięczność wystawili mu przy drodze pomnik”.

Rys. 9

Przy tym obrazku wielu czytelników wracało do Palestyny. Zwiódła ich prawdopodobnie sześcioramienna gwiazda wśród palm. Chorażewka polska, skrzyżowana z francuską, i hebreizowany napis (czytelny nawspak) „Witajcie!” powinny były jednak upewnić czytelników, że p. Gryps jest na francuskiej wyspie

Madagaskar, projektowanej na teren kolonizacyjny dla Żydów z Polski.

Rys. 10

„Indje — fakir na szpilkach (niekiedy dla wytchnienia przesiada się na białe plamy po konfiskatach)” (Stanisław Kryczyński).

Rys. 11 i 12

Rys. 11 (Chiny) i rys. 12 (Japonia) nie wymagają komentarza. Zostały przez czytelników naogół trafnie odgadnięte.

Rys. 13

Góra Kościuszki w Australji.

Rys. 14

Obrazek ten przedstawia naturalnie Antarktydę (okolicę bieguna południowego).

NAGRODY X — L

Nagrody X — L w postaci książek podróźniczych otrzymali:

Walter Auerbach we Lwowie, Adolf Borzymowski, Marjan Zygmunt Bosniak w Krakowie, Aleksander Rzożowski, Stanisław Pruski, Henryk Uda.

Marek Działoszycki, Jan Faszczewski w Rembertowie, R. Gokieli, Jerzy Grünstein, Jakob Halpern we Lwowie, Leokadia Jernachówna, Zofia Kaczorowska, Gustaw Kaleniński, Ada Kopciowa, Mieczysław Kowalczyński, Marja Leszczyńska, Adam Lewiński, Kazimierz Łukaszewicz, Felicia Markowicz, Halina Martin, Jakób Murkes w Łodzi, Dorota Oberfeld, Elżbieta Opechowska w Juracie, Tadeusz Prus-

Faszczewski, Marta Rajchman w Grand-Sacconex (Szwajcaria), Paulina Rajmanowa, Malwina Richterowa we Lwowie, Helena Rogowska, E. Rosenbergowa, Jakób Rozenblum, Marja Skibniewska, Aleksander Szejański, Stanisław Szejański, Paulina Szporn, Zofia Szymanowska, Mieczysław Wionczek w Legionowie, Irena Weberowa, Tadeusz Wiśniewski, Adam Zieliński, Andrzej Ziemiński.

Dodatkowe nagrody w postaci książek za specjalnie staranne graficzne opracowanie odpowiedzi otrzymali:

Karolina Ozerkowska w Łodzi, Wacław Rubinsztajn, Emil Umaniecki.

NAGRODA „NIEDŹWIEDZIA”

Nagrodę „Niedźwiedzia” otrzymali: Stanisław Adler, Jan Arnold, Halina Auderska, Edward Asz, Julian Berg, Adolf Borzymowski, Stanisław Broniewski w Krakowie, Helena Buczyńska, Czesław Centkiewicz, Bohdan Damiński w Gdyni, Zbigniew Danielak w Krakowie, Jan Kazimierz Dorawski w Krakowie, Jerzy Dzierwurski, Alfred Ehrenpreis w Krakowie, Tadeusz Endelman, Leon Flancer, Jerzy Friedlander, Bronisław Francos we Lwowie, Józef Friescher w Krakowie, Bronisław Frochtman, Juliusz Frydrychewicz, Jan Fürstenberg, Gilczyńska, Władysław Gordziałkowski, Jan Gośniewski w Kielcach, Tadeusz Guzowski, Józef Handelsman, Olgierd Jabłoński w Gdańsku, Hanna Jędrzejewska, Edward Jędrzejewski, Anna Kipper, Jacek Kokoszynski we Lwowie, Henryk Korngold, Jerzy Kozicki we Lwowie, Aleksander Krajewski w Kielcach, Jacek Kryt w Dąbrowce Lwowskiej, Zbigniew Kulczycki, Genia Lew, Jerzy Lewiński, Lichtenbaum w Skolimowie, Maryla Lipska w Katowicach, Roman Lutman w Katowicach, Zofia Malczewska w Zakopanem,

Marchlewska we Włocławku, Kazimierz Maślankiewicz w Krakowie, Jakub Memnowicz w Krakowie, Jan Merwaser, Janina Metera w Radomiu, Jerzy Michalski, Alojzy Michałowski w Wilejce Powiatowej, Stefan Miller, Jadwiga Netzel, Wł. Obrembski, Przemysław Olszewski w Krakowie, Paweł Ordyński, Józef Orenburg, M. Ossowska, Jerzy Ostrowski w Rzeszowie, Marja Piotrowska, Jerzy Piskozub w Gdańsku, Marja Polkowska, Eugenia Praska, J. J. Rafalscy w Poznaniu, Malwina Richterowa we Lwowie, Izaak Rubin, Wanda Rzeczkowska w Ornowce, Stefania Sakowska, Tadeusz Sienkowski w Gdyni, Jerzy Sierota, Henryk Skotnicki, Tadeusz Sokołowski, Bolesław Surówka w Katowicach, Zofia Szymanowska, Zygmunt Tyminski w Gdyni, Anzelm Wardęga, Tadeusz Weber we Lwowie, Ryszard Weisblum, Kazimierz Wilczyński w Kobryniu, Jan Wiśniewski w Łodzi, Tadeusz Wiśniewski, Janina Wysocka-Ochlewska, Stanisław Zacharski w Gdyni, Teofila Zatermanówna, Adam Zieliński, Bernard Zyss w Strzemieszczach.

go). Wynika to 1) z krajobrazu, 2) z obecności pingwina, 3) ze szlaku podróży, który przy następnym obrazku wiedzie na północ (kierunek statku) wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej. Nie do pomyślenia jest, aby p. Gryps w drodze z Australji do Ameryki Południowej zawadził o okolicę bieguna północnego (wyspa Niedźwiedzia, Spitsbergen, Grenlandia i t. p.). Lecz w takim razie skąd tu biały niedźwiedź, który jak powszechnie wiadomo, zamieszkuje wyłącznie okolicę Arktyki (bieguna północnego)? Był to dodatkowy ukryty konkurs spostrzegawczości czytelników, a jednocześnie utrudnienie łatwego naogół konkursu. Mimo obecności niedźwiedzia, z wyżej wymienionych przyczyn obrazek nr. 14 nie mógł przedstawiać okolic arktycznych. Dlatego tym 84 czytelnikom, którzy podali trafne miejsce pobytu p. Grypsa (Antarktyda), a jednocześnie spostrzegli i wytknęli w sposób dowcipny nielogiczną obecność na nim białego niedźwiedzia, redakcja przyznała „nagrodę Niedźwiedzia” w postaci książek.

Pan inż. Czesław Jacek Centkiewicz, powołując się na znakomitą książkę inż. Czesława Jacka Centkiewicza p. t. „Wyspa mgieł i wichrów”, pierwszy uzyskał niedźwiedzie odznaczenie. Pan Władysław Gordziałkowski określa białe zwierzę jako „Ursus Grypsus” vel „Ursus lapsus”. Najdowcipniej wybrał z niedźwiedziej pulapki p. dr. Miller (III nagroda) który podaje: „14. Wyspa Grypsa (62° 23' szer. pld. 81° 15' dług. zachod.). Wyspa, odkryta przez p. Grypsa, jest unikattem ze względu na obecność białych niedźwiedzi w tej okolicy świata. Za odkrycie to p. Gryps otrzymał doktorat honoris causa uniwersytetu w Oxford (patrz rys. 20)”.

Na obrazku widać ślady nóg p. Grypsa i porzucone przez niego na śniegu pudełko „Płaskich”. Rzecz prosta, nie są to ślady polskiej ekspedycji polarnej, jak twierdziło wielu uczestników konkursu.

Rys. 15

Obrazek ten nadawał się specjalnie do dokładnego określenia miejsca pobytu p. Grypsa, mimo pewnego utrudnienia, jakim było podanie mapy w schematycznym zarysie. Najściślejsze były odpowiedzi podające położenie statku, na którym znajduje się p. Gryps, według stopni geograficznych. Np. p. dr. Miller słusznie określa „26° 23' szer. pld. i 81° 15' dług. zach.”. Ścisłe także były odpowiedzi „statek znajduje się na oceanie Spokojnym koło wyspy Juan Fernandez i zmierza do portu Valparaiso w Chile”. Wobec tak dokładnych określeń musiały ustąpić odpowiedzi określające położenie statku „u wybrzeża Chile”, „w drodze do Chile”, „wzdłuż brzegów Ameryki Południowej”, „na wysokości zwrotnika Koziorożca” (bardzo niedokładnie, gdyż niewiadomo, jak daleko od ładu Ameryki) i podobnie. Natomiast za zupełnie błędną uznano odpowiedź „Ameryka Południowa” lub

„Chili”, gdyż według warunków konkursu należało ustalić miejsce pobytu p. Grypsa, a bohater podróży znajduje się nie na lądzie, lecz na statku, a więc na Pacyfiku. Na każdym obrazku znajdujemy ślad p. Grypsa (naturalnie prócz obrazku nr. 2), więc i tu należało się domyśleć gdzie on się znajduje. Niczem nieuzasadnione jest twierdzenie, że p. Gryps leci na samolocie nad Ameryką. Nie mógłby on wówczas widzieć tak wielkiego obszaru ładu, no i... siatki geograficznej. Nic też w obrazku nie wskazuje na podróż powietrzną (np. cień samolotu na lądzie), natomiast specjalnie narysowany na mapie statek każe się doszukiwać p. Grypsa właśnie na nim i według narysowanych południków i równoleżników określić położenie statku.

Rys. 16

Miejsce pobytu Trockiego w Meksyku jest trzymane w tajemnicy. Określenia, podawane przez czytelników, zresztą bardzo rozmaite, oparte na wiadomościach dziennikarskich lub plotce, nie mogą być niewątpliwie i autorytatywnie sprawdzone. Dlatego określenie „Pan Gryps znajduje się u Trockiego w Meksyku” uznano za maksymalnie dokładne.

Rys. 17

Rys. 17 dał czytelnikom pole do wielu doskonałych żartów. Oczywiście, pan Gryps jest u Joan Crawford, w jej garderobie znajdującej się na terenie wytwórni „Metro-Goldwyn-Mayer” w Hollywood (Kalifornia). Makieta wieży Eiffel za oknem określa tylko, że rozmowa odbywa się na terenie wytwórni, a nie że p. Gryps jest w Paryżu. Wynika to niewątpliwie ze szlaku podróży.

Rys. 18

Fabryka Forda. Obrazek naogół przez wszystkich poprawnie odgadnięty. Zdobywca I nagrody określił go najdokładniej.

Rys. 19

Nie wystarczyło powiedzieć „Nowy Jork”, konieczne było ponadto określenie: „W chińskiej dzielnicy”. Wiele odpowiedzi błędnie podaje Szanghaj, a przecież na obrazku widać wyraźnie symbolicznie umieszczoną rękę i głowę Posagu Wolności, charakterystycznego dla Nowego Jorku.

Rys. 20

Bodaj największą trudność sprawił obrazek przedstawiający p. Grypsa w czasie uroczystości uniwersyteckich. Wprawdzie z pewnych subtelności stroju widać było, że uroczystość odbyła się w Cambridge, jednak przyjęto że głównie dobre odpowiedzi umieszczające bohatera tak w Oxford jak i w Cambridge, gdyż obydwa te stare uniwersytety zachowały podobny ceremonial tradycyjny. Pewne utrudnienie stanowiło że p. Gryps charakterystyczny beret uniwersytecki trzyma w lewej ręce, tak że go nie widać.

Umiejętowanie akcji w Londynie nie da się niczem uzasadnić, a np. lordem mayorem p. Gryps nie mógł zostać, gdyż na obrazku niema sławnego łańcucha.

Rys. 21

Pan Gryps przed obrazem „Monna Lisa” (Francja, Paryż, Luwr, Grande Galerie).

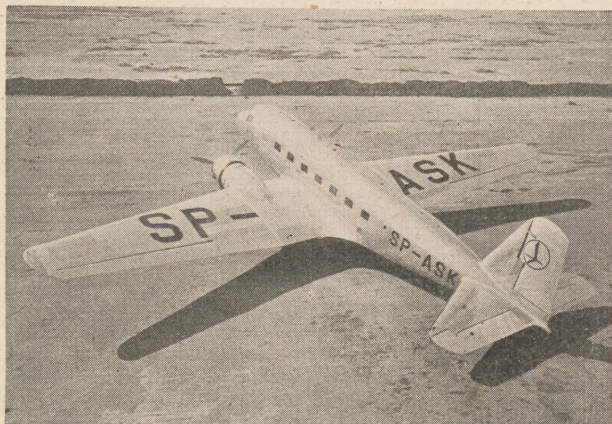
Rys. 22

Pan Gryps w samolocie „Lotu” nad Berlinem. W każdym razie nie nad Norymbergą, gdyż tamteady nie leca polskie samoloty. Nad Berlinem, ale nie „Tempelhof” (szyny tramwajowe, wyraźne skrzyżowania ulic).

Rys. 23

Wiadomo... (ści Literackich administracja. Warszawa, Królewska 13), jak odpowiedział jeden z czytelników.

POLSKIE LINJE LOTNICZE „LOT” UFUNDOWAŁY DWIE NAGRODY

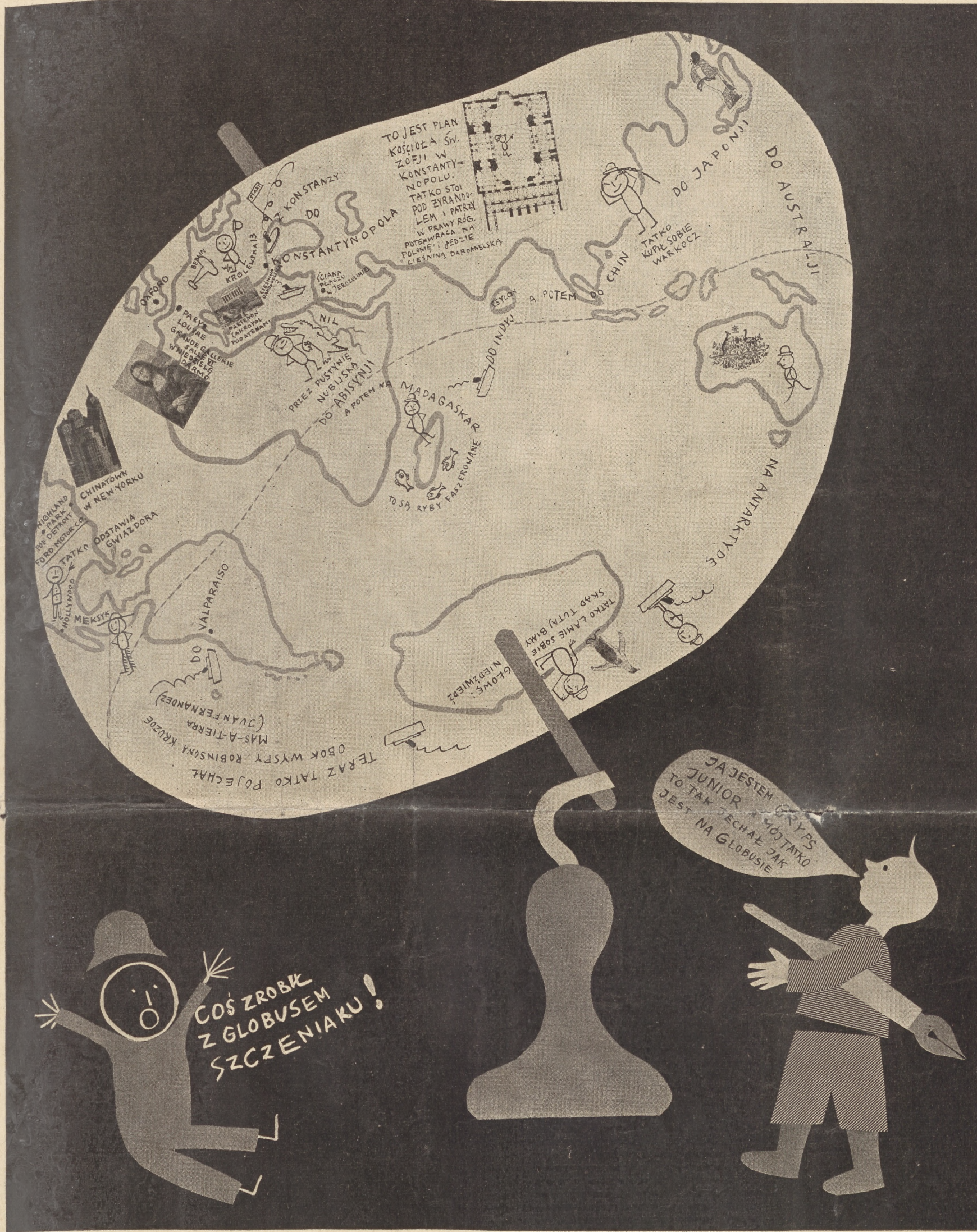


2-silnikowy olbrzym komunikacyjny „Lotu” „Douglas D. C. 2”, którym laureat konkursu geograficznego „Wiadomości Literackich” odbędzie lot do Palestyny. Kabina pasażerska zawiera 14 wygodnych foteli. Szybkość przelotowa około 300 km/godz.



12-osobowy samolot pasażerski „Lotu” „Lockheed-Elektro”, którym laureaci konkursu geograficznego „Wiadomości Literackich” odbędą loty do Helsinek i do Gdyni. Specjalne urządzenia zapewniają w kabine pasażerskiej dobrą wentylację, stałą temperaturę i ciszę.

Odpowiedź Franciszki i Stefana Themersonów (I nagroda)



Odpowiedź Anieli Tarnowicz (II nagroda)

Poniżej miło mi przedstawić „itineraire” drogi p. Anatola (oczywiście) Grypsa. W myśli warunków konkursu określa się każdorazowe miejsce pobytu (możliwie dokładnie).

1) Molo w Konstancji w Rumunii (4-ty stopień drabinki) przy wejściu na okręt „Polonia”.

2) Hagia Sofia (meczet Św. Zofii) w Konstantynopolu (Istanbul): p. Gryps stoi z zadartą głową między wejściem a środkową kopułą.

3) Wjazd do cieśniny Dardaneelskiej, p. Gryps na pokładzie, inne Grypsy widoczne po obu stronach cieśniny (t. zw. grypsy dardaneelskie).

4) U stóp Partenonu w Atenach (aby wymalować napis na marmurze, p. Gryps wydrapał się dość wysoko: mniej więcej do 1/3 wysokości kolumny).

5) Przed „ścianą płaczu” w Jerozolimie: Żydzi się modlą, Gryps się gapi, facet w tenisowych pantoflach odwraca się zgrozony.

6) W Egipcie nad Nilem (górnym, bo brzeg wysoki), p. Gryps hieratycznym

ruchem wita się z krokodylem (krokodylowi brakuje najwidoczniej najprzedniejszego lewego kła w dolnej szczęk).

7) Na pustyni Nubijskiej (tylko ta jest po drodze, jak zobaczymy z dalszego planu podróży: inne kamieniste). Fata morgana.

8) W podbitej przez Włochy Abisynji. Szosa przez Ogaden w stronę gór. Defilada tanków przed nowym pomnikiem Mussoliniego. (Ale dlaczego koń ma tylko jedną przednią nogę?).

9) Brzeg morza na Madagaskarze. Grypsik leży u stóp łuku tryumfalnego na powitanie przyjeżdżających Żydów.

10) W Indiach: znad skraju dżungli (koniecznie!) spogląda sympatyczny p. Gryps na lokalnego fakira, siedzącego na „Szpilkach”, zamiast na charakterystycznej desce nabitej gwoździ.

11) W Chinach: zajada pałeczkami mysz „po mandaryńsku” — ale szkoda że serwis europejski.

12) W Japonii: dumping i gałązka kwitnąca wiśni.

13) W Australii Południowej: prawie

że na granicy stanów „New South Wales” (Nowa Południowa Walja) i Victoria. Składa wieniec na szczycie góry Kościuszki (Kościuszk Group) (nie „Mount”) wysokości 2236 m (ok. 140° 15' długości na wschód od Greenwich, ok. 36° 24' szerokości południowej).

14) W okolicach bieguna południowego: najprawdopodobniej „Victoria Land”, bo to i niedaleko od Australii około 700 — 800 km. i góry odpowiednie do obrazka (!). Gryps, porzuciwszy ostatnie pudełko „Płaskich”, znikł właśnie za fałdem terenu w stronę rzeki wśród lodów.

15) Przybija do jednego z portów północnego Chile: nie widać dobrze czy Antofagasta, La Serena, czy bodaj Valparaiso.

16) Oczywiście, Mexico-City u Trockiego na pogadance.

17) Hollywood u Joan Crawford. Przez okno widać Paryż do pucu. Oczywiście, dekoracja z wieżą Eiffila i innymi wieżami (!).

18) Detroit (Michigan) U. S. A. u Forda. (Ale te maszyny jakieś dziwne).

19) China Town (chińska dzielnica w Nowym Jorku), ale nazwę magazynu lepiej wymalować „Smith” nie „Smitch”, bo i Chińczycy i Amerykanie nie skapują. Chińczyk z wiadrami tak się ubrał na niedzielę, bo zwyczajnie chodzi w czapce.

20) Anglia: ale nie Londyn chyba. Pochochód a la sędziowskiego lub uniwersyteckiego dygnitarza (może Oxford), nie Mayor, bo nie ma łańcucha. W obrębie „courtu”. Spoza sztachet gapią się przechodnie na Grypsa, który parady w płaszczu i z asystą dostojnika.

21) W muzeum Luwru w Paryżu pod „Giocondą”. Ale prawdziwa „Monna Lisa” wisi niżej i ma dużo szerszą ramę.

22) Nad Berlinem w samolocie „Lotu”. Widać p. Hitlera w pierwszym samochodzie. Za nim świta. W czwartym samochodzie na dachu: kiniarze.

23) Wiadomo. Warszawa. Królewska 13. Grypsik zameldował się w administracji „Wiadomości”; właśnie wyszedł i wali do redakcji po forę, na drugą jazdę.

Hemar o podróży Grypsa

Świetny poeta Marjan Hemar nadsyła nam — poza konkursem — następujący opis podróży p. Grypsa:

Dżentelmen, nazwiskiem Gryps,
Przesiadywał w Café Ips,
Marząc z miną eleganta
O podróżach à la Janta.
Inna sprawa marzeń mglistość,
Inna znowu rzeczywistość.
Grunt nadzieja. Gdy czas masz — marz —
W swej fantazji snów image maż — —
Rzeczywistość się pomalu
W świat przemienia ideału — — —
Gryps już jedzie.

(Chcieć, to móc,
Jak powiedział pewien wódz).

1

Już widzimy go w Konstancji.
Wzrokiem, niby ostrzem lancy,
Rzuca jeszcze za się — est-ce que
Będą wołać mu „trejeske”?
Nikt nie woła. Puste molo.
Gryps na statek wchodzi solo.

2

Ślusznie „Orbis” czy „Francopol”
Radzi: zwiedz Konstantynopol!
W ornamentów hipertrofji
Błyszczą meczet Aji Sofji,
Z rzymskim „Piotrem” dzieląc po pół
Sławę najpiękniejszych kopuł.

3

Wnet, emocyj chłonać wiele,
Płynie Gryps przez Dardanele,
Gdzie na brzegach, marzycielskie
Ryczą osły dardaneelskie —
Zwane tak, bo w różnych celach
Przebywają w Dardanelach.

4

Akropolu biały gips,
Na nim tekst: „Tu był A. Gryps”,
To najprostszy dowód na ten
Fakt, że Gryps nie minął Aten.
Poczem jeden krótki skok:
Wdół po mapie — w prawo, w bok —

5

I już widzi z wielkim żalem
Ścianę placzu w Jeruzalemie.
Ze wszech stron, tu, w tę bez dna kadz
Przyjeżdżają Żydzi płakać.
Więc się dziwne zdaje to mu,
Że nie płaczą raczej w domu.

6

Egipt... piramidy... Slinks...
Bar w Kairo... flips and drinks...
Palmy, krokodyle, Nil,
Przez tę baśń czarownic chwil
Z bólem serca Gryps się przedarł,
Bo już czeka nań dromedar.

7

Chyba tylko głupi lubi,
Kiedy drogę w Nubji zgubi.
Zar. Powietrze, niby mchu kłak,
Piasek, pustka, wyschły buklak.
Nagle zwracasz w stronę plaż

Wisła? Yacht-Club? Widzisz maszt —
Wszystko miraż. Ta przemiana
Zowie fata się morgana.

8

Faszyzm dziwne cuda czyni.
Oto strada w Abisynji
Zbudowana w ciągu pięciu
Dni, jak u nas na Okęciu.
Dumą widza pierś rozpięta
Taka autostradosfera.

9

Madagaskar żywna wyspa,
t. j. wyspa — na cześć Grypsa
Wywiesiła szyld „Witajcie,
Gryps!”. Tak wita obcy kraj cię,
Myśląc, żeś przypadkiem Żyd.
Był to obustronny zgryz.

10

Indje, kraj mistycznych wirów.
Ludność składa się z fakirów,
Którzy lekko, jak motylki,
Nasadzają się na szpilki,
Świadczy to, bez żartów głupich,
O wytrzymałości pup ich.

11

Chiny, po angielsku Czajna,
Kuchnia u nich jednostajna:
Szczur w potrawce, szczur sauté,
Klops ze szczura, szczur pannée —
Gryps przez trzy dni nie tknął nic.
Potem wszystko żarł jak Grydz.

12

Wkrótce, w zachwyceniu ślepem,
Stał Gryps przed japońskim sklepem,
Niby na wystawie czarów —
Nowe auto pięć dolarów...
Dumping, doping, lub też duping,
Zwią ten przemysłowy looping.

13

Mount Kościuszk jest w Australji
Jedną z miłych anomalji.
Wlaziłszy na najwyższą z rotond,
Gryps przepiękny wieniec uwił
Na cześć góry, której dotąd
Nikt z tubylców nie wymówił.

14

Na biegunie południowym
Niedźwiedź jest zjawiskiem nowym...
Jego rzecz, gdy gdzieś się wypśnie...
Wziął się tam, tak jak nasz
Gryps, nie?
Spostrzegł Grypsa, warknął mu: nie
Wolno śmieć na biegunie!

15

Przez Pacyfik płynie Gryps.
Bar na statku: drinks and flips,
Nuda morska. Płynie czas.
W dali widać — ładu pas.
Czy mnie wzrok nie myli, mili?
Czy to Peru, czyli Chili?

16

W Meksyku do późnej nocy
Dyskutował z Grypsem Trocki.
Że rewolucyjna siejba...
I o Blumie, że też Lejba.
Trocki został bezprizornie —
Gryps już zwiedza Kalifornję.

17

W Hollywood być, w mieście czarów,
A nie posiąść paru „star” ów?...
Gryps rozkoszy słodkiej ssie kran,
Choć to nie był zeroekran —
Czem bynajmniej nie obniżam
Przyjemności dwojga pizam.

18

Jeszcze czuł smak ust tej Crawford —
Już go w Detroit gościem miał Ford.
Co sekunda zlaży z taśmy
Wóz — do wozu z Grypsem włączmy:
Start — gaz — zryw — pęd — skręt
— słup — — szlus.
Co sekunda nowy wóz.

19

W Nowym Jorku złote typki
Mają chińskie Nowolipki
(China-town). Gryps się uśmiecha:
„Smith” nie pisze się przez „ce ha”!
To „cha” ma na końcu Smith!
Drobiazg. Mała rzecz a wstyd.

20

W uniwersytecie w Oxford
Kwitnie cały bity rok sport.
Czem sport dla Oxfordu, tem brzd
Jest dla akademji w Cambridge.
Gryps — mistrz został w Cambridge
onem

21

Honorowym Culbertsonem.

22

Jeśliś był w Paryżu, mów, że
Czułeś się najmilej w Luwrze,
Tak czy owak każdy wie,
Że to było w „Chabannais”.
Monna Lisa czar swój miewa,
Ale człowiek nie jest z drzewa.

23

Berlin! Ruch! Kurfürstendamm!
Flagi z okien! Flagi z bram!
Wgórę ręce! W marszu nóg las!
Heil!!! Lotnisko — polski Douglas —
W głowie Grypsa krótkie spięcie —
W dołku mdło —

Co?

Już Okęcie?

24

Gryps się ocknął.

Siedzi w „Ipsie”

Na kanapki ciepłym rypsie.
„Płacić”... Wyszedł. Idzie chwiejnie.
Deszcz. Szaro. Beznadziejnie.
En passant — bez żadnej złości —
Wybił szybę „Wiadomości”.

*

Już zamknęła się elipsa:
Piękna podróż pana Grypsa.

Marjan Hemar.

W najbliższych numerach „Wiadomości Literackie” drukować będą m. in. prace następujących pisarzy: **Wacława Borowego** „Półtora stulecia dyplomacji polsko-angielskiej”, **Henryka Dembińskiego** „Oświecony absolutyzm — zwierciadło współczesnego totalizmu”, **Witolda Gombrowicza** „Podglądanie i dalsze zapuszczanie się w nowoczesność (fragment z powieści „Ferdynand”)", **Leonida Grossmana** „Śmierć Puszki” („Zapiski d'Archiaca”) w przekładzie **Władysława Broniewskiego**, **Marcelego Handelsmana** „Wizerunek psychologiczny księcia Adama Czartoryskiego”, **Stanisława Kota** „Bracia Polscy”, **Nikołaja Leskowa** „Opowieść o tuskim mańkucie i stalowej pchle” w przekładzie **Juljana Tuwima** (z ilustracjami **Władysława Daszewskiego**), **Wandy Melcer** „Pomnik Chopina z drzew i kwiatów” (o Żelazowej Woli), **Zofii Nałkowskiej** „O międzynarodowej krytyce literackiej”, **Ryszarda Ordyńskiego** „Teatr dla moźnych”, **Antoniego Słonimskiego** „Wystawa paryska”, **Antoniego Sobańskiego** „Kwestji żydowskiej — niema” (z cyklu „Pisarze polscy o kwestji żydowskiej”), **Stanisława Wasylewskiego** „Sprawa Stanisława Dunieckiego” (z cyklu „Awantury lwowskie”), **Jerzego Wyszomirskiego** „Reminiscencje i skojarzenia”.

CAMERA OBSCURA

O współpracę czytelników „Wiadomości Literackich” w „Camera obscura”
CO TYDZIEŃ ZŁ. 25.— NAGRODY

Zwracamy się niniejszem do czytelników „Wiadomości Literackich” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów, jak broszury, ulotki, czasopisma (w postaci całych numerów lub wycinków nie pozostawiających wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: **Warszawa, Królewska 13**, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne**, wystarczy surowy materiał. Do przysyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskiwania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynosi nagrodę w wysokości zł. 25.—, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu otrzymali nagrody po zł. 5.— p. **Kazimierz Sieroszewski** w Warszawie (Górnoślaska 16 m. 6a) za wycinek z „Wiadomości Literackich”, p. **Janina Czajkowska** w Warszawie (Jasna 10 m. 8) za wycinek z „Kurjera Warszawskiego”, p. **Jan Iwański** w Ostrzeszowie za wycinek z „Nowego Przeglądu”, p. **Józef Zdunek** w Warszawie (pl. Paryski 7 m. 32) za wycinek z „Kurjera Codziennego 5 Gr.”, p. **Kazimierz Zabrzęski** w Poznaniu (Pat. Jackowskiego 41 m. 4) za afisz.

SKOMPROMITOWANY KRETYN

„Wiadomości Literackie” (nr. 714) wykpiły w dziale „Camera obscura” podpis pod ilustracją „Wieczoru Warszawskiego”, brzmiący: „Na zdjęciu — plac de la Concorde z obeliskiem, wzniesionym dla upamiętnienia obecnej wystawy światowej”. Te ignoranckie informacje „Wieczoru” zaopatrzył archiwariusz „Camery” w niemniej ignorancki komentarz:

Genjalny Napoleon Bonaparte o wszystkim pamiętał i wszystko przewidywał!

Nie przewidział tylko jednego: że „Camere” prowadzić będzie w „Wiadomościach Literackich” nieuk, analfabeta i kretyn, który wykpiwając innych, sam nie ma o niezem pojęcia i nie wie, że obelisk paryski sprowadzony został z Luksozu przez Ludwika Filipa w r. 1836, a więc w 15 lat po śmierci Napoleona!

PRZYKRY INCYDENT

„Kurjer Warszawski” (nr. 179, wyd. poranne) pisze, że król rumuński podczas defilady armji

zobaczył groźne dla wrogów naszych i państw zaprzężonych ramię Rzeczypospolitej.

JKM. zażądał wyjaśnień, poczem uspokoił się kawkiciem.

CO PACHNIE?

Wychodzące w Kępnie pismo „N o w y P r z y j a c i e l L u d u” drukuje w dodatku „Wieczery pod Lipą” (nr. 6) utwór liryczny ks. Józefa Janiszewskiego p. t. „Co pachnie?”. Piękny ten i wzruszający wierszyk zasługuje na nauczanie się napamięć, co też Szanownym Czytelnikom pragniemy ułatwić, przedrukowując go w całości:

Jak mile pachną trawy kwitnące,
Gdy doczekają się swego końca,
To znaczy, gdy skoszone na łacie
Schną już powoli w promieniach słońca,
Tak, iż się nieraz urządzi spanie
Na sianie!

A człowiek, dumny król tej przyrody,
Co nieraz nie chce znać nawet Boga,
Co cieszy skarbem się swej swobody,
Gdy śmierć nań przyjdzie, ta pani sroga,
Czy wtedy — pachnie „dumny król” także?
A jakże!

Tak „pachnie” bardzo, że go czym

przedz
Trzeba na cmentarz wynosić
w trumnie! —
Oto do jakiej doszedł ten nędzny,
Co głowę zawsze wznosił tak dumnie!
I oto! Trawa skromna tak pachnie!
On? Ach, nie!

CIERPLIWI CZŁOWIEK

Ogłoszenie w „Kurjerze Codziennym 5 Gr.” (nr. 164):

Potrzebna dziewczyna do drapania 15 miesięcy, bez życia. Srebrna 14 — 25 poniedziałek 7 — 9 rano.

Cierpliwy człowiek! Swędzi go, a sam się nie podrapie, tylko dziewczynę przez ogłoszenie szuka!

NA ZAKOŃCZENIE

Dużych rozmiarów afisz z Poznania:

Na zakończenie XVII Zjazdu Akcji Katolickiej i Kongresu Chrystusa Króla odbędzie się w poniedziałek dnia 28 czerwca 1937 r. wielkie ognie sztuczne. Wspaniałe efekty! Emocja! Gorący krzyż 8 m. wysoki. Obrazy pirotechniczne przedstawiające Ojca Św. i Prymasa Polski.

Pozatem moc bomb o kilkakrotnych wspaniałych wystrzałach. Symfonia świateł, kaskady, mylniki wirujące i świszczące. Wodospad „Niagara” 25 m. szeroki. Na zakończenie kanonada à la Verdun.

ANNO 1937

W „Expressie Illustration” (nr. 2185) czytamy:

Konferencja rzeźników, owocarzy, pobielaczy naczyń i kanalarzy w Patras (Grecja) przelała do Synodu kościoła greckiego petycję, by dzieła największego filozofa Grecji Platona skonfiskowano jako niezgodne z doktryną chrześcijańską.

ROK NA WYSPIE USZU-AIA

„Goniec Warszawski” (nr. 105) donosi:

Na wyspie Uszu-Aia przez dziesięć miesięcy sroży się zima, podczas której panują mrozy gromadzące, od sferryskich. Pozostałe trzy miesiące jest ciepło.

O dalszych miesiącach nie podaje „Goniec” żadnych informacji.

DROGA OKREŻNA

Z „Warszawskiego Dziennika Narodowego” (nr. 107) dowiadujemy się, że

Rozpoczynając w dniu 4-ym kwietnia swój letni sezon, niemieckie lotnictwo utworzyło dwie nowe linie, z Hamburga do Londynu ponad morzem Czarnym.

Linie te nazwane zostały po niemiecku „Umweg-Linie”.

WOŁOMIN

„ABC” (nr. 122) twierdzi, że

Wołomin jest największym miastem położonym na szlaku kolejowym Warszawa — Wilno.

Białystok i Grodno zamierzają ogłosić protest.

NADLUDZKA SIŁA DUCHA

„Ślaski Kurjer Poranny” (nr. 109) sprawozdanie z meczu footballowego):

I w tym tak ważnym momencie rzucił na szalę to, czego Krakowianom przy całej ich błyskotliwości i niezrównanej technice brak: nadludzką siłę ducha, żelazną wytrzymałość śląskich wiarusów, która zdolna jest dokonywać cudów.

Mowa o faciecie, który muskularną girą kopnął skórzaną piłkę.

DZIELNY STRAŻNIK

Z „Naszego Przeglądu” (nr. 113).

Widząc groźną postawę tłumu, strażnik wystrzelił z rewolweru w górę. Na ogłos strzału tłum i gaciarze umknęli w jedną, a strażnik w drugą stronę.

I zrobiło się pusto.

NA ZAWSZE

„Kurjer Czerwony” (nr. 104) ogłasza wyrok sądowy:

„kara śmierci i utrata praw obywatelskich na zawsze,

Bezwzględnie na zawsze.

FENOMEN NATURY

W „Kurjerze Porannym” (nr. 87) ukazała się kobieta

o małym, kształtnym podbródku, rysującym się nad pięknym karkiem i ramionami.

Gdy kobieta ta opuszcza oczy, widzi własną... Tak jest.

EMANCYPACJA ZWIERZĄT

Z „Expressu Jarosławskiego” (nr. 4) dowiadujemy się, że

w dniu 2 bm. nieznaną rowerzystą z Zapasu młodych koni przejechał rowem 9-letniego...

Młody koń, jeżdżący na rowerze, jest oczywiście postacią nieznaną. Powinien zaangażować się do cyrku, a zaraz stanie się sławny.

ROBAK

Z „Wieku Nowego” (nr. 10796):

Do redakcji naszej przyniesiono wczoraj czarny chleb z piekarni Tabacynskiego, zakupiony w jednym ze sklepów przy ul. Żródlanej przez p. J. O., zam. ul. Arciszewskiego 8 z zapieczonym, wewnątrz robakiem. Chleb ten p. O. złożył przedłożyl Wydz. VI Magistratu celem dalszego urzędowania.

Szczęśliwiej podróży, robaczku!

JEST RADA!

Z „Prosto z Mostu” (nr. 18):

W ujęciu semantycznym „wyrażanie” jest prostą ekspresją stanów psychicznych pozbawioną intencji komunikacyjnych i dlatego, ilekroć twórczość artystyczna przekracza granice patologicznego autocentryzmu, tylekroć staje się wypowiedzią t. j. wyrazem odpowiednio ukształtowanym dla intencji komunikacyjnych. Mówiąc po prostu, sztuka musi być zrozumiała i na to nie ma rady.

O, właśnie!

SKALA MIŁOŚCI

Z noweli „Judas” („I. K. C.”, nr. 102):

Powinien był powiedzieć Wrońskiemu o Marcie Annie Znanieckiej, bogatej pannie, która podczas otwarcia wystawy zakochała się w młodym malarzu po pas, dziś jest już rozmówiona powyżej uszu.

Przed otwarciem wystawy miłość Marty Anny Znanieckiej do młodego malarza nie sięgała kolan.

EFEKTOWNE ZDANIE

Z powieści w „Głosie Pomorza” (nr. 53):

Czerwiec szarpnął umysłem, jak żydowski koń — naładowany wozem i wyluskał z siebie następujący efekt.

MAŁY SIENNIK

„Mały Dziennik” (nr. 121) używa języka, którego pochodzenie budzi żywy niepokój w szerokich kołach jego czytelników:

towarzystwa pracujące myśl powrotu do dawnych pięknych wśród ludu zaczyna propagować strojów ludowych.

Prosimy o wiadomość, z jakimi środkami oni ich propagują?

PRZECIWKO BARBARZYŃSTWU

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Pogromy w Brześciu i Częstochowie, to ostatnie objawy zbrodniczej akcji, prowadzonej na różnych terenach. Społeczeństwo polskie zbyt długo zachowuje milczenie w sprawie, która nie może być obojętna dla tych wszystkich, co dbają o poziom życia społecznego i kulturalnego w Polsce i o jej przyszłość.

Pastwienie się nad bezbronną najoobojętniejszą ludnością żydowską, niszczenie i rabunek warsztatów pracy drobnych rzemieślników, bicie i prześladowanie koleżanek i kolegów na wyższych uczelniach, uchwały różnych stowarzyszeń wykluczające kolegów Żydów — oto szereg faktów poprzedzających Brześć i Częstochowę.

Akcja pogromowa przypomina starszej części społeczeństwa dobrze jej znane z czasów carskich metody, stosowane przez czynniki skrajnej reakcji w walce z prądami wolnościowymi, demokratycznymi. Obecnie antysemityzm posługuje się szerszym zakresem środków i zapożyczonym hasłem rasizmu, istotą rzeczy pozostała jednak ta sama.

Hańba jest, że akcja pogromowa jest realizowana w niepodległej Polsce. Hańba ta spadnie na całe społeczeństwo polskie, jeżeli nie postawi ono tamy zbrodniczemu działaniu i szerzeniu hasła, które to działanie prowokuje. Społeczeństwo polskie pod grozą upodlenia młodzieży, sprowadzenia życia społecznego do poziomu barbarzyństwa, upadku kultury, więc wobec zagrożenia najistotniejszych wartości zbiorowego życia w Polsce, musi zmobilizować wszystkie swe siły do przeciwstawienia się rozpętanej akcji.

W imię najszczytniejszych tradycji narodu polskiego, w imię demokratycznych idei wolnościowych, którym zawiązujemy odzyskanie niepodległego bytu naszej ojczyzny, wzywamy tych wszystkich, którym drogie są te idee, aby podjęli walkę na każdym odcinku życia społecznego z zalewem obcego duchowi polskiemu barbarzyństwa.

Stanisław Bukowiecki, dr. Feliks Burdecki, Józef Ciąglicki, Jadwiga Cichńska-Lewicka, prof. St. Z. Czarnowski, dyr. Faustyn Czerwinski, prof. A. B. Dobrowski, dr. Regina Fleszarowa, prof. Władysław Gumplowicz, prof. dr. Tadeusz Kotarbiński, Kazimiera Krajewska, dr. Jerzy Krecmar, inż. Stanisław Kruszewski, St. J. Kudelska, doc. dr. Tadeusz Manteuffel, Anna Nałkowska, Hanna Nałkowska-Bickowa, doc. dr. Marja Ossowska, doc. dr. Stanisław Ossowski, dr. Zofia Podkowska, Józef Pruchnik, Wacław Rogowicz, Irena Sawicka, Ludwik Sawicki, Wacław Szumański, prof. dr. Tadeusz Walec-Czarnecki, Irena Wasutynska, doc. dr. Stefania Zahorska, dr. Tadeusz Żebrowski.

O SŁOWA

MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

W związku z notatką p. t. „Dziesięć lat temu” zamieszczoną w nr. 715 „Wiadomości Literackich”, przypominam co następuje.

Historyczne i wielkie słowa Marszałka Piłsudskiego, polecające zamieszczenie trumny Słowackiego do krypty królewskiej, i ja słyszałem najwyraźniej w formie: „bo królom był równy”. Wynikała ta forma zresztą jasno z logiki zarówno całej mowy jak i ostatniego jej zdania. Wszak z królami równała Słowackiego cała jego twórczość i poziom duchowy jego życia, a nie pogrzeb, który tego życia był wynikiem. W tej formie zapisałem te słowa w artykule przeznaczonym dla „Wiadomości Literackich”. Dopiero pan, panie redaktorze, w porozumieniu zresztą ze mną, uzgodnił to zdanie z oficjalną redakcją mowy, podaną przez PAT’a i ogłoszoną przez wszystkie pisma. Od tego czasu niejednokrotnie wracałem w rozmowach do tego tematu, twierdząc iż słowo „by” w tem miejscu jest niewłaściwe i szukając innych słuchaczy wielkopomnego przemówienia, którzyby podzielili me zdanie. Niestety, forma „by królom był równy”.

Nr. 185 „Wiadomości Literackich” przynosi m. in. artykuł Boya-Zeleńskiego „O święte prawo do przeczinka” (w obronie prawa pisarza do własnej indywidualnej interpunkcji, oraz nowelę Władysława Rymkiewicza „Wiesław i Gladys”, nagrodzona na konkursie „Wiadomości” przez kolegów sędziowskie, złożone ze Stanisława Czosnowskiego, Karola Irzykowskiego i J. N. Miller. — W „Kronice tygodniowej” Antoni Słonimski daje następującą charakterystykę ówczesnej prasy warszawskiej: „Kurjer Poranny. Księstwo dziedziczne pod protektorem Anglii. Godło: chorągiewka na dachu z białym lub czerwonym fryzem. Stolica kraju: Erenberg. — Kurjer Warszawski. Królestwo dziedziczne. Ludność składa się z napływowego elementu aryjskiego i autochtonów-Żydów. Godło: trupia czaszka na białym polu. Armji niema. Silny korpus policji obywatelowej. Flota handlowa pod dowództwem komandora Lewentala. Ludność zajmuje się składaniem i drukowaniem nekrologów. — Express Poranny i Kurjer

ny” przyjęła się — wbrew prawdzie i logice — i powtarzana jest we wszelkich przedrukach mowy Marszałka Piłsudskiego i w wyjętych z niej cytatach. Sądję, że zdaniu temu należałoby przywrócić jego formę pierwotną.

Jarosław Iwaszkiewicz.

ODPOWIEDZ NA LIST BIBLIJOFLA

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Juljan Tuwim, czarujący poeta oraz erudyta figlarny, oskarża się w liście, ogłoszonym w „Wiadomościach Literackich” (nr. 710), na swoje utrapienia zbierackie. Kolekcjonerstwo Tuwima jest równie urocze jak jego szperania w kulturze staropolskiej i plynie z tego samego źródła zainteresowań; zbieranie „broszurek z wierszami czwartorzędnych poetów, zeszytów z piosenkami (Kiercelak), druczków humorystycznych, swistków odpustowych, wydawnictw popularnych i ludowych” (dodałbym tu jeszcze reklamy cyrków wędrownych, magików, jasnowidzów i wróżek), jest wielką zasługą społeczną, ratuje bowiem od zagłady dokumenty kultury ludowej i drobnoniezmierzczanskiej, skazane na zapomnienie i zniszczenie tak ze względu na ich charakter jak i na środowisko, dla którego są przeznaczone. Domyślam się że nie dla spełnienia owej służby społecznej zbiera te swistki autor „Jarmarku rymów” — i upodobania jego tym bardziej są przez to cenne, że bezinteresowne; tkwi w nich „des esseintes” owski niemal gust do rzeczy obślizwych i dziwacznych, wyrafinowana skłonność do utworów naiwnych, niezgrabnych, efemerydalnych; napisał też Tuwim o tem swoim zbieractwie w nieistniejących już jako czasopismo „Szpargałach” (nr. 1, czerwiec 1934). Słusznie tedy oskarża się na brak czasopisma zbieraczy, i z radością powitać należy jego projekt utworzenia w „Wiadomościach” kącika dla bibliofilów; aby jak najrychlej powstał i oby co tydzień szperacz polski mógł znaleźć w nim coś ciekawego dla siebie. Niesłusznie natomiast oskarża się poeta-bibliofil na brak jakiegś „kongregacji kolekcjonerów”, do której „zbieracz przystąpił chętnie”: jako prezes Tow. Bibliofilów Polskich w Warszawie publicznie notyfikując osamotnionemu zbieraczowi, że Towarzystwo to istnieje od lat już szesnastu (po niem powstały zrzeszenia podobne w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, Lublinie, Toruniu, Kaliszu, Zamościu, a nawet Polskie Tow. Przyjaciół Książki w Paryżu), że ogłosiło dwadzieścia parę wydawnictw, że jednocześnie wpisowe do niego wynosi pięć złotych, a składka roczna dwanaście, i że Towarzystwo to najchętniej przyjmie do swego grona każdego rzetelnego bibliofila a już z zachwytem przygarnie tak jak Tuwim sierotkę zbieracką. Tow. Bibliofilów Polskich w Warszawie nie posiada czasowo własnego lokalu, w którym zbieracze mogliby skupiać się i porozumiewać, jednakże, jak o tem „stało” swego czasu w kronice miejskiej „Gazety Polskiej”, pod koniec b. r. otrzymało pomieszczenie w Archiwum Miejskiem, w budynku dawnego Arsenalu (róg Długiej i Nalewki), przywracanym obecnie do swej minionej świetności pod fachowym i zamilowanym przewodem mjr. Englera; tam, w lokalu Tow. Bibliofilów Polskich w Warszawie, toczy się będą sympozjony bibliofilskie, na których oby jak najwięcej bywało takich jak Tuwim zbieraczy.

St. P. Koczorowski.

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Myśl rzuconą przez p. Juljana Tuwima („Wiadomości Literackie”, nr. 710), kierowania dezyderatów zbieraczy do rubryki bibliofilskiej „Wiadomości” — witam z ogromnem zadowoleniem. Zbiaram wszystko co dotyczy Zamościa — druki, ulotki, rękopisy, listy, odezwy, plany twierdzy, ryciny.

Henryk Rosiński (Zamość, Dom Centralny).

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Myśl rzuconą przez p. Juljana Tuwima („Wiadomości Literackie”, nr. 710), kierowania dezyderatów zbieraczy do rubryki bibliofilskiej „Wiadomości” — witam z ogromnem zadowoleniem. Zbiaram wszystko co dotyczy Zamościa — druki, ulotki, rękopisy, listy, odezwy, plany twierdzy, ryciny.

Henryk Rosiński (Zamość, Dom Centralny).

10 LAT TEMU

Czerwon. Nizina o charakterze błotnistym. Forma rządu obojętna. Flota aby było. Liczne bandy dywersyjne. Ludność zajmuje się koprofagią i rybołówstwem w mętnej wodzie. — Głos Prawdy. Małe księstwo bojaźni bożej pod protektorem Belwederu. Ludność składa się wyłącznie z karabinierów, sierżantów, sokołów, sokołowców, efreiterów i Breiterów. Floty nigdy niema. Godło: czarny licznik na złotym polu. W razie wojny, nakład podwojny. — Gazeta Warszawska Poranna. Stany zjednoczone. Główny stan: stan zaciętrzewienia. Ludność: przeważnie żydowska. Armia: znienawidzona. Godło: rudy kozioł na polu bardzo już wywołanem. Forma rządu: wroga. — Robotnik. Płaskowzgórze piaszczyste, położone między księstwem GłosuPrawdyi Kurjera Porannego. Na czele rządu delfin, ksiądz krwi Szapiro. Ludność zajmuje się pochodami. Godło: miot, kielnia i Hebbel w rękę Irzykowskiego. — Epoka. Bezkrólewie. Wojna o sukcesję austriacką. — Sensacyjnie brzmi dzisiaj przedruk odpowiedzi na ankietę „Kto powinien do-

JESZCZE O NARODOWOŚCI MIECZNIKOWA

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

W związku z listem p. Józefa Panka („Wiadomości Literackie” nr. 714) wyjaśniam, że Miecznikow jest pochodzenia żydowskiego po kądzieli. Ponieważ w latach, kiedy ukazały się obie, cytowane przez p. Panka, encyklopedje rosyjskie, genealogia żydowska wielkich ludzi nie interesowała tak czytelników jak obecnie, nikt w artykułach poświęconych Miecznikowskiemu nie podkreślał żydowskiego pochodzenia matki wielkiego uczonego.

Dr. med. S. Zybertański (S o s n o w i e c).

WYJAŚNIENIE

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Pod tytułem artykułu mego „Latarnia nauki polskiej nad Bałtykiem” w nr. 713 „Wiadomości Literackich” znajdowała się uwaga: „Wydawnictwa geograficzne Instytutu Bałtyckiego”. Uwagi tej nie znalazłem w wydrukowanym tekście, a bez tego ograniczenia — tytuł główny, bardzo ogólny, wykracza daleko poza treść, z natury rzeczy dość „przyziemną” artykułu. Czytelnicy z pierwszych słów artykułu nie wiedzieli, o jaki „Instytut”, o jakie „wydawnictwa” chodzi.

Zbigniew Zaniewicki.

UWAGZE PP. POETÓW

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Wobec tego że okoliczności nie pozwoliły mi omówić na łamach „Wiadomości Literackich” nadesłanych w ciągu ostatniego roku bądź imiennie do mnie, bądź do redakcji tomków poezji, nawet w tym dalekim od całkowitego wyczerpania materiału stopniu, na jaki pozwalają techniczne warunki pisma — proszę wszystkich zainteresowanych o zażerzenie do „Rocznika Literackiego 1936”, gdzie wszystkie te książki, o ile nie były już zanotowane w poprzednim „Roczniku”, zostały w większej lub mniejszej mierze uwzględnione.

K. W. Zawodziński.

OSTRZEŻENIE

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Jak się dowiaduję, na terenie Warszawy grasuje oszust, który, posługując się fałszywymi biletami wizytowymi z tekstem: „Dr. Walerjan Charkiewicz, Wilno, Red. „Słowo”, zwraca się przez posłańców do różnych osób z prośbą o pożyczanie 85 — 90 zł. Prośbę swą oszust uzasadnia okolicznościami przeważnie dramatycznego charakteru, a jako gwarancję zwrotu pożyczki, dodaje do listu kwesl w blanco do 100 zł., podpisany moim imieniem i nazwiskiem, nawet bez uisławiania podobienia mego charakteru pisma.

Osoby, które coś wiedzą o podobnych wyczynach oszusta, proszone są o niezwłoczne powiadomienie urzędu śledczego w Warszawie (Dzielnica Wesoła 3 — kierownictwo IX brygady); gdyby zaś oszust zwrócił się do kogoś jeszcze, należy oddać go w ręce policji.

Walerjan Charkiewicz (Wilno).

*

F. R. w Łodzi. Nie skorzystamy. Lkw. Nie skorzystamy. El. G. w Genui. Z łaskawej propozycji nie skorzystamy.

M. G. w Drusienikach. Nie skorzystamy.

J. Sk. Nie będziemy drukowali.

Z. Fr. w Kamienicy. Zamieścimy.

L. Zb. w Łodzi. Sądymy, że redakcje zostały wprowadzone w błąd przez autora artykułu.

G. H. Zawiadomiliśmy autora artykułu.